TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 23 (171)
Łódź, 11-VI. 1961 r.
cena 1 zł

OPERA za „TRZY STÓWY"

odgłosy

czytaj na str. 2

CZERWONE ZŁOTO

Napisał KRZYSZTOF POGORZELEC

Najpierw przyszli tutaj Tatarzy. Twierdzenie, że pod Legnicą zachowywali się zgodnie z wymogami savoir-vivru jest co najmniej gołosłowne; nie licząc nietaktu jakim było obnoszenie głów wrogów na włóczniach, ostatecznie ich wódz umarł w rok później na brzydką chorobę...

Niemcom — na szczęście — też się nie lepiej powiodło: poszukiwany „kanarek" okazał się dla nich wróblem. Inaczej było z inżynierem Wyrzykowskim i spółką!

CZERWONE ZŁOTO

Już w pociągu na trasie Łódź—Legnica spotkałem się z tym słowem. Lecz... w jakim dziwnym kontekście! Było już u nas przynajmniej dwóch takich co chcieli ukraść Księżyc. Przypominam Jacka i Placka z Zapiecka — Kornela Makuszyńskiego. Ale żeby — TRUMNY?

Głos mojego „przedziałowego" sąsiada nabrał tonów sardonicznych: — Dojdziesz pan ulicą Murarską lub Partyzantów. To nazywa się Mauzoleum Piastów...

Mój rozmówca nie był widać znawcą architektury. Owe „to" okazało się pięknym barokowym cackiem z wyraźnymi śladami gotyku. Z sufitu popatrzył na mnie najpierw Apollin, rozpędzony na rydwanie, pędzla nieznanego mistrza. A potem jeszcze wianuszek równie świetnych fresków, które przez tamte długie lata niemieckiej nocy musiały stać ością w gardle nie tylko miejscowych „übermenschów": brodaty Mieszko, Chrobry, Bolesław Śmiały i Krzywousty. A wreszcie — w specjalnych niszach zobaczyłem te 5 trumien. Wsparte na białych orłach kryją w sobie szczątki ostatnich legnickich Piastów: księżnej Ludwiki, Zofii, Jerzego Wilhelma, Elżbiety Legnickiej oraz księcia

Dokończenie na str. 6

Owa koszmarna przygoda zaczęła się pewnego sobotniego wieczoru. Przeglądałem miejscową gazetę popołudniową i na ostatniej stronie natrafiłem na ogłoszenie: „Towarzystwo Kraftstudta przyjmuje od instytucji oraz osób prywatnych zlecenia na wykonanie wszelkiego rodzaju prac z zakresu obliczeń oraz analiz matematycznych. Gwarancja wysokiej jakości wykonania. Zlecenia kierować na adres: Weltstrasse 12.

Było to akurat to, o czym nie śmiałem nawet marzyć. Przez szereg tygodni trudziłem się nad rozwiązaniem równań Maxwella, które opisywały zachowanie się fal elektromagnetycznych w ośrodkach niejednorodnych o osobliwej budowie. W końcu udało mi się w drodze szeregu przybliżeń i uproszczeń nadać równaniom taką postać, że mogła je rozwiązać matematyczna elektronowa maszyna.

Sądziłem już, że wypadnie mi przedsięwziąć podróż do stolicy, by uprosić administrację ośrodka obliczeniowego, aby dokonano mi tam wszystkich potrzebnych obliczeń. Przecież obecnie ośrodek obliczeniowy zawalony jest zamówieniami wojskowymi. Nic tam nikogo nie obchodzą próby teoretyczne prowincjonalnego fizyka, interesującego się prawami rozchodzenia się fal radiowych.

A oto proszę, w naszym małym miasteczku znalazł się ośrodek obliczeniowy, który w drodze ogłoszeń prasowych poszukuje zleceniodawców.

Wstałem zza biurka, podszedłem do telefonu, chcąc natychmiast połączyć się z Towarzystwem Kraftstudta. W tym momencie zorientowałem się, że prócz adresu ośrodka obliczeniowego nie podano w gazecie nic więcej. „Solidny ośrodek matematyczny bez telefonu? To niemożliwe!" Wobec tego zadzwoniłem do redakcji gazety.

— Niestety, to jest wszystko, cośmy otrzymali od Kraftstudta — powiedział sekretarz redakcji. — W ogłoszeniu nie podano żadnego telefonu.

W książce telefonicznej Towarzystwo Kraftstudta także nie figurowało.

Płonąc z niecierpliwości, by jak najszybciej otrzymać rozwiązania równań, wyczekiwałem poniedziałku. Parokrotnie odrywałem się od starannie wypisanych na papierze równań, za którymi kryły się skomplikowane procesy fizyczne, i myśli moje zwracały się ku Towarzystwu Kraftstudta. „Wychodzą ze słusznego założenia — myślałem. — W naszych czasach, gdy każdej myśli człowieka próbuje się nadać postać wzoru matematycznego, trudno wymyślić bardziej intratne zajęcie". Ale, ale, kim właściwie jest ten Kraftstudt? Od dawna mieszkam w tym mieście, ale nazwiska Kraftstudta chyba nie znam. Mówię „chyba", bo jakoś bardzo niejasno przypominam sobie, że kiedyś zdaje się spotykałem się już z tym nazwiskiem. Ale gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach, tego nie mogę sobie przypomnieć.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany poniedziałek. Wsadziłem do kieszeni kartkę ze swoimi równaniami i wyruszyłem na poszukiwanie Weltstrasse 12. Mżył drobny wiosenny deszczyk, musiałem więc wziąć taksówkę.

— To dosyć daleko — rzekł kierowca — za rzeką, przy szpitalu psychiatrycznym.

W milczeniu skinąłem głową i pojechaliśmy.

Jechaliśmy około czterdziestu minut. Minęliśmy rogatki miasta, przejechaliśmy przez most nad rzeką, objechaliśmy jezioro i wjechaliśmy w pagórkowaty teren, porosły wyschniętymi zeszłorocznymi chwastami. Gdzieniegdzie przebijała już wczesna, wiosenna zieleń.

Potem ukazały się dachy, a wreszcie czerwona cegła murów położonego w dole szpitala psychiatrycznego, który nazywano w naszym mieście żartobliwie „przybytkiem mędrców".

Wzdłuż wysokiego muro-

Dalszy ciąg na str. 9

HENRYK CZARNECKI

Czy otwiera się DZIURA W NIEBIE?

Utarło się mniemanie, dość już zresztą dawno, że szkoła zawodowa to jakaś kulturalna prowincja w stosunku do ogólnokształcącej, uboga siostrzenica ogólnokształcącej, pełnej dostojeństwa i mądrości. Bo i czegóż nie ma w tej ogólnokształcącej? Tyle w niej przecież literatury tyle dumań, głębi rozważań co by było gdyby Mickiewicz nie poznał Maryli, nie mówiąc już o problemie długości wąsów Jacka Soplicy. Niektórzy, co gorliwsi, klękali nawet przed nią, a rzędy im miny dopiero wtedy, gdy synalek, który nie dostał się na studia, po mieście szukał odpowiedniej pracy. Nawet znaczków na poczcie nie pozwalali mu sprzedawać, nie miał kwalifikacji.

A szkoła zawodowa? „Zawodówka" — jak to mówiło się i, być może, jeszcze mówi w niektórych środowiskach Czuć w niej antyintelektualny zapach spalin samochodowych. Uczniowie w poplamionych kombinezonach, nosy wycierają w rękawy, obrzucają się „łaciną" na przerwach i podpisują się krzyżykami. O Żeromskim wiedzą tyle, że przy tej ulicy są zakłady naprawcze i dobrze zaopatrzona knajpa z kiszonymi ogórkami. Tak. Spacerując po mieście należy zapoznać się z adresami owych zawodówek, by je omijać, bo przecież każdej chwili można oberwać z okna w głowę jakąś, na przykład, kierownicą od traktora, czy nawet całym traktorem, albo „meslem" czy „śrabcyjerem".

Zaraz... Czy pan Iksiński nadal tak myśli?

Licho go wie. Jest lekarzem, a jednak posłał synalka do owej „zawodówki". I dziennikarz, za nim kilku inżynierów i pewien bardzo tradycyjny urzędnik.

Zmienili zdanie? Życie narzuciło im konieczność przewartościowania świętych pojęć? A może zmieniło się coś w tego typu szkolnictwie?...

* * *

Łódź. Wólczańska 55.

Gmach Technikum Samochodowego.

Na 90 miejsc do pierwszej klasy aż 220 kandydatów, 300, 350. Każdy rok powiększa ich liczbę. Zwiększa się ilość miejsc. Szkoła otwiera już trzy pierwsze klasy. W tym roku pewnie aż cztery. Co się stało? Kim są ci chętni? Synowie robotników? Inteligencji? A może to ci mało zdolni, którzy nie mają szans dostania się do szkół ogólnokształcących?

Już rozpoczęły się badania

Dalszy ciąg na str. 2

Karol Badiak

HIENY

czyli

OPERA ZA „TRZY STÓWY"

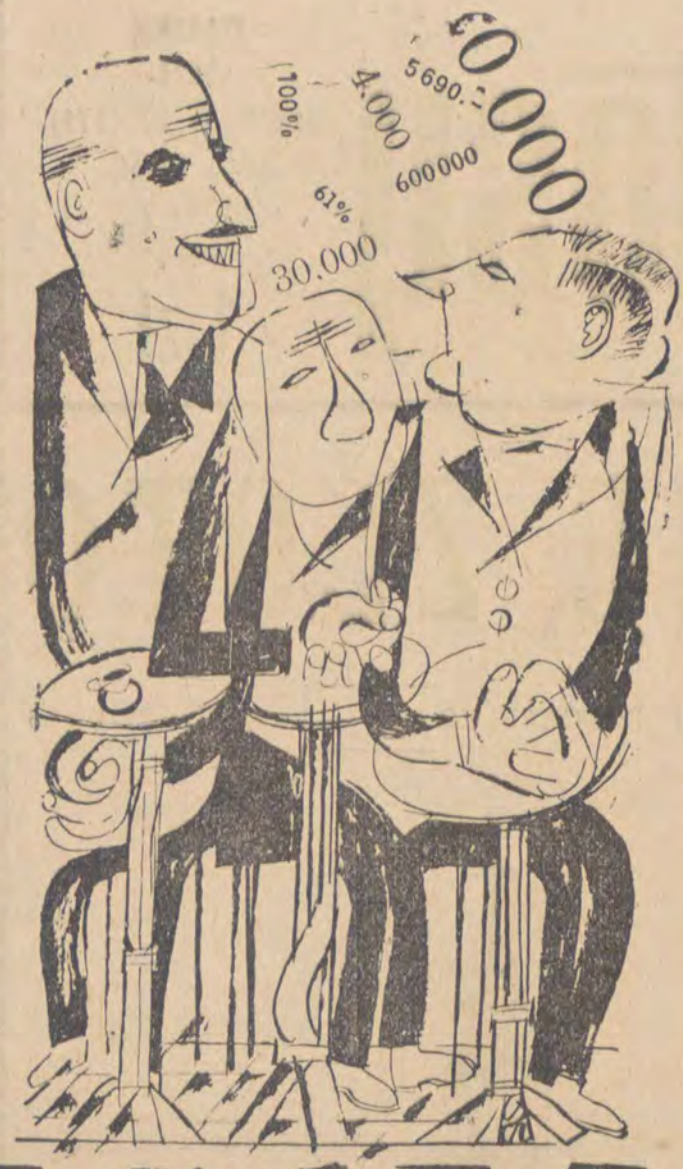

Właśnie usiadłem do sałatki z ogórków, gdy na moim biurku zaterkotał telefon. Dzwonił redaktor domagając się ode mnie odpowiedzi czy w Łodzi znajdują się jeszcze prototypy brechtowskich bohaterów z „Opery za 3 grosze"? Czy Brecht mieszkając w naszym mieście mógłby napotkać Macke-Majchra?

Poprosiłem wtedy redaktora, żeby mi dał trzy dni czasu do namysłu, a ja mu wówczas odpowiem. Założyłem pumpy, czarne okulary, nabiłem fajkę „Przednim" tytoniem i udałem się do „Łodzianki". Oczywiście nie bez kozery swój reporterski zwiad rozpocząłem od tego lokalu. O ile i w jakim stopniu była to zbytnia afektacja z mojej strony, postaram się w dalszym ciągu szczerze odpowiedzieć.

„Łodzianka" prosperuje w samym centrum Łodzi. Znana jest jako lokal o rozmaitej renomie. Dobrej i złej. Jej egzotyka zafascynowała już niejednego reportera. Sam lokal składa się z dwóch części, a właściwie tylko ta pierwsza salka stanowi ów przedmiot fascynacji. Jeśli chodzi o tę drugą, położoną w głębi, to wiadomo, że od chwili kiedy dyrekcja „Grand-Hotelu" zabroniła prostytutkom wysiadywania w swojej kawiarni, wszystkie panny hurtem przeniosły się tutaj na śniadania. Za nimi udali się niektórzy goście hotelowi. Podczas śniadania zawiązuje się znajomości, które wieczorem po całodziennej konferencji są utrwalane na kolacji w „Halce" ewentualnie w pokoju hotelowym.

Jednak dziś nie o tej sprawie chcę pisać, choć na marginesie nasuwa mi się jeszcze jedna szczególna uwaga: otóż w ostatnim okresie daje się zauważyć silna inwazja mętów społecznych do centrum miasta. W godzinach wieczornych, kiedy się tylko ściemni, Śródmieście przekształca się w żenującą promenadę agresywnych handlarek oferujących po zniżonych cenach swe wdzięki. Zrodził się tutaj jakiś swoisty rodzaj maneżu, oczywiście maneżu prostytucji, bo w koniki gra się w Łodzi bez oglądania faworytów. Wspominam o tym dlatego, że zbliża się sezon urlopowy i wielu słomianych wdowców zechce skorzystać z owych „dni wolności" w wiadomy sposób. Ostrzegam! Liczba zarażonych chorobami wenerycznymi znów się powiększyła.

A swoją drogą tak ze względu na spokój jak i ze względu na zdrowie społeczeństwa należałoby tę całą „ferajnę" wypłoszyć ze Śródmieścia. Przecież w końcu nawet i w Paryżu pewne pryncypalne ulice reprezentatywne dla miasta są z tego towarzystwa omiecione.

Wróćmy jednak do tej pierwszej małej salki w „Łodziance". Z pozoru stanowi ona rodzaj azylu dla starszych panów o nobliwym wyglądzie. Na ich temat krążą wśród ludzi liczne opinie i opowieści. Czasem dają się nimi zwieść dziennikarze „Expresiaka" i wówczas czytamy: „Łodzianka" lokalem homoseksualistów!" albo „Wielka afera numerkarzy" — jeden z uczestników gry podarł na oczach personelu tysiąc złotych, ale nie oddał płaszcza do szatni, gdyż żałował złotówki".

A oto historia jaka miała miejsce w tym lokalu. Opowiedział mi ją jeden ze stałych bywalców. Podobno parę miesięcy temu zjawił się w „Łodziance" facet, który podjechał pod kawiarnię nowiutkim „Mercedesem" i zaproponował gościom z brzegu (tym od pierwszych czterech stolików) makabryczny zakład: ten, któremu uda się zapalić wszystkie po kolei zapałki, jakie posiada w swoim pudełku, otrzyma samochód, ale jeżeli choć jedna zapałka zgaśnie, wówczas odetnie mu się mały palec u lewej nogi. I cóż? Okazało się, że ani jeden z nich nie zechciał wziąć udziału w tym oryginalnym zakładzie. A przecież zbierają się w tym lokalu najwięksi hazardziści. Ba, przyjeżdżają tutaj nawet pokerzyści z innych miast na gościnne występy.

W „Łodziance" działa dobrze zorganizowana mafia o swoistej hierarchii. Mafia składa się z „naganiaczy" „prezesów" i „szefów". Jednak pragnę podkreślić, że większość bywalców, którzy przesiadują w pierwszej sali „Łodzianki" to przeważnie emeryci nie zdający sobie z niczego sprawy. Jedynie nieznaczna część gości przychodzi tu nie tylko po to, by się napić kawy, ale dla sobie tylko wiadomych interesów.

„Prezesi" i „szefowie" w ogóle się w tym lokalu nie pokazują, mają swoich agentów, poprzez których kontaktują się z klientami. „Łodzianka" to punkt czarnej giełdy waluciarskiego świata. Od wielu lat rezydują ci sami ludzie, ten sam gatunek ludzki. Wielu z nich jeszcze parę lat temu też zajmowało się handlem walutą, ale dziś przychodzą tu tylko ze względów czysto towarzyskich, z przyzwyczajenia. Z powodu przeróżnych ograniczeń ich możliwości się skończyły, pozostała jedynie iluzja. Siedzą stetryczali przy małych stolikach, wiecznie niezadowoleni, wieczni malkontenci. Twarze gości tego lokalu się nie wymieniają, lecz zmieniają, są coraz głębsze. Ostatni mohikanie umierającego świata kapitalizmu. Mohikanie są nieszkodliwi, szkodliwi natomiast są inni, ci, którzy z ich usług korzystają. Popularni w tym lokalu są tzw. naganiacze, czyli młodzi chłopcy, zawierający znajomości z „cycami". „Cyca" takiego bierze się potem do prywatnego domu na pokera. Oczywiście, zwyczaj nakazuje, żeby towarzyszyły im dwie lub trzy panienki dla towarzystwa, które w czasie pokera spacerują roznegliżowane po pokoju, otrzymując za to 10 proc. z puli.

Świat tej kawiarni nie jest jednolity i co tu dużo mówić, bardzo trudny do rozszyfrowania. Przesiadują w nim stare wygi dokonujące wykroczeń bardzo trudno uchwytnych i zakamuflowanych. Codziennie rano wraz z otwarciem natychmiast przybywają, zajmują małe, niewygodne stoliki, by po 12 godzinach „urzędowania" je opuścić. Ponieważ lokal czynny jest 14 godzin na dobę, więc te dwie godziny przed zamknięciem (od 21 do 23) według niepisanej umowy należą całkowicie do hałaśliwych prostytutek i ich ponurych, zapijaczonych towarzyszy, do złodziejaszków i innej detalicznej hołotki ze społecznego marginesu, otoczonej morzem pogardy.

Oczywiście, o charakterze lokalu decydują podobno zwykle goście. Ale sądzę, że i kierownictwo ma tutaj też coś do powiedzenia. „Łodzianka" jest chyba jakimś poważnym nieporozumieniem. Bo chyba nieporozumieniem jest fakt, że w samym sercu miasta, pod czułą opieką ŁZG znajduje się lokal-giełda, lokal-szulernia, — lokal-lombard i lokal-dom publiczny.

Panie Redaktorze, gdyby Brecht w Łodzi pisał swą „Operę za 3 grosze" to zapewniam Pana, że byłaby to opera o wiele droższa, co najmniej za 300 złotych.

W następnym numerze głosy w dyskusji na temat repertuaru i sytuacji w teatrach łódzkich.

JAN SZTAUDYNGER

OCZYSZCZAJĄCE DZIAŁANIE MIŁOŚCI

Każdy twój uśmiech, każde spojrzenie
Działa jak środek na przeczyszczenie.

●

X. X.

ODPOWIEDŹ WIELBICIELKI

Gdy po dawnych pożarach smutne leżą zgliszcza,
Szukasz nowej rozkoszy — niechże cię przeczyszcza.

CZY OTWIERA SIĘ DZIURA W NIEBIE?

(dokończenie ze str. 1)

psychotechniczne. Badanie orientacji, wyobraźni, zmysłu technicznego, rozumowania. Dziesiątki a może nawet setki skomplikowanych testów. Rozwiązuję je razem z nimi, chcę sprawdzić swoje wiadomości politechniczne. Niestety. Te szkraby wiedzą chyba więcej. Szybciej przerzucają kartki niż ja.

Pytam kolegów z innych szkół. Wszędzie tłok. Prysł już więc mit, że szkoły zawodowe zaludnia mniej zdolna młodzież.

Skąd jednak tylu kandydatów? Skąd ten stale wzrastający pęd młodzieży do tego typu szkół?

Myślę, że wzrost poczucia rzeczywistości. Życie pobiegło nowymi ścieżkami, drogami, szosami, *autostradami*.

Może świadomość, że do współczesnej kultury wkradły się, silniki maszyny, tranzystory i konieczność rozumienia skąd i którędy wędruje telewizyjny obraz? Może sama znajomość literatury i historii plus filozofia staje się dziś niewystarczająca aby współczesnego człowieka nazwać z czystym sumieniem kulturalnym?

Spotkałem się kiedyś, ze zdaniem, że suma wiadomości w średniej szkole zawodowej (typu licealnego) jest mniejsza, niż w średniej szkole ogólnokształcącej.

Jak najbardziej fałszywe pojęcie. Jestem polonistą. Niech nikt więc nie posadza mnie o stronniczość. W interesie bowiem polonisty leży walka o każdą miedzę humanistycznego zagonu.

Mój kuzynek uczy się w „ogólniaku" Poznaje i propedeutykę filozofii i literaturę ze wszystkimi jej szczególikami i z Napoleonem jest „na ty" i po starożytności spaceruje pewnie. Syn znajomego mi dziennikarza uczy się w technikum. Poznaje ekonomikę, zasady działania silników, odbywa teoretyczne wyprawy na Księżyc, poznaje filozofię działania maszyn, poezję samochodowych linii. Zna tylko mniej dokładnie twórczość Potockiego, czy Paska. Nie bardzo wie jaka jest treść Nieboskiej Komedii, ani kiedy dokładnie urodził się na przykład Napoleon. Nie we wszystkich bitwach towarzyszy sławnym, nie wszystkimi dzieli się z nimi sukcesami i klęskami. Kuzynek zna lepiej tamto, ów chłopiec co innego. Co jest ważniejsze?

Wszystko. Nie sposób jednak przy ogromie współczesnej wiedzy i osiągnięć cywilizacji poznać to wszystko.

Który z nich wie więcej?

Żaden. Każdy z nich tylko na inną grupę przedmiotów położył szczególniejszy nacisk.

Chodzi o to, by zachować jakąś odpowiednią proporcję między życiem a nauką. Między tym, co osiągnęła współczesna wiedza, a tym czego się o niej uczymy. Nie można przecież tkwić wyłącznie na humanistycznym podwórku, gdy wyfrunęły już w przestrzeń sputniki. Dzisiejsza epoka potrzebuje specjalistów. Współczesny człowiek musi wiedzieć o wszystkim. Ostatecznie i Leonardo da Vinci był mądry nie dlatego tylko, że był artystą, ale dlatego, *że interesowało go wszystko.*

O co więc toczy się walka? Czy rzeczywiście odhumanistyczniają się szkoły zawodowe? Nonsens. Odwrotnie nawet. Czas nauki w szkołach zawodowych rozrósł się do pięciu lat. Przy tej samej ilości godzin humanistycznych w poszczególnych klasach. Zwiększył się więc wymiar tych godzin w pięcioletniej skali. Nauczycielstwo naradzi na „nieustających konferencjach" nad nowymi sposobami estetycznego wychowania naszego ucznia. Znam szkoły zawodowe, gdzie wprowadza się do programu nawet Chopina. I pogadanki na lekcjach wychowawczych o twórcach oper. I o muzyce symfonicznej. Coraz szerzej i lepiej działają kółka zainteresowań, coraz więcej młodzieży odwiedza teatry i muzea.

Biją więc fałszywe dzwony na fałszywy alarm. Władze szkolne rozwiązują dziś inne problemy. Dotyczące raczej szkół ogólnokształcących. Toczy się powszechną batalia o POLITECHNIZACJE SZKÓŁ OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH o zbliżenie nauki do współczesnego życia.

Ktoś powiedział mi kiedyś, że samo życie narzuci absolwentowi szkoły ogólnokształcącej politechniczne zainteresowania.

Odpowiadam: Życie narzuci także naszemu absolwentowi humanistyczne zainteresowania.

Mogą oni oczywiście nie skorzystać z tego.

Ale to już inna sprawa. Obowiązkiem każdego typu szkół jest umieć zainteresować swych wychowanków tymi zagadnieniami.

Nie jest więc tak źle. Nie ma potrzeby bić w wielkie dzwony na alarm. Nikt nie obdziera naszej młodzieży z humanistycznych wartości. W programach naszych zachodzą tylko pewne zmiany. Pewne oczekiwane od dawna przesunięcia. Współczesna epoka stworzyła tyle dóbr cywilizacji i kultury, że trzeba trochę ograniczyć przeszłość na korzyść współczesności. Nie otworzy się przysłowiowa dziura w niebie, gdy uczeń zamiast dwóch fragmentów pamiętników Paska znać będzie tylko jeden. Gdy zamiast „Żywota człowieka poczciwego" pozna żywot człowieka dzisiejszego z jego ogromem zdobyczy i problemów.

HENRYK CZARNECKI

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

„15[10] do Yumy“

Tym razem bohaterem jest biedny i spokojny hodowca bydła, zagrożony dość poważnie klęską suszy. Nic go wprawdzie nie obchodzi rabunkowy napad na dyliżans i popełnione tam morderstwo, ale dla dwustu dolarów, które uratują jego rodzinę, być może nawet od głodu, podejmuje się odstawić przywódcę bandy do odległego więzienia. Nie ulega pokusom eskortowanego bandyty, który chce dać dziesięć tysięcy dolarów za przywrócenie wolności, nie rezygnuje z odstawienia go do Yumy, chociaż dojścia do stacji kolejowej bronić będzie dziesięciu uzbrojonych chwackich „kowbojów“, a wystraszony fundator owych 200 dolarów zaproponuje wypłacenie ich mimo nie wykonanego warunku.

Gdyby tylko w ten sposób dawała się opowiadać treść filmu Delmera Davesa, wszystko byłoby w porządku. Po obejrzeniu dość nudnych sekwencji środkowych — efektowne zakończenie... Ostatecznie mielibyśmy to, czego chyba tylko wymagamy od westernu: emocję, szlachetnego, odważnego i silnego człowieka w krwawej rozprawie z przeważającą siłą wrogów...

Ale ostatnio — widać to przynajmniej w rezultatach pojawiających się na polskich ekranach, choćby właśnie w filmie „15.10 do Yumy“ — western zaraził się fałszywymi ambicjami psychologizowania. To co dotychczas przyjmowano konwencjonalnie, „po męsku“ — zaczyna się analizować, podbudowywać na siłę ideą.

W „15.10 do Yumy“ uważa się właśnie za stosowne wysunąć na plan pierwszy motywację postępowania bohatera, zaakcentować jego wewnętrzne przeżycia.

Okazuje się ostatecznie, że nie chodzi o pieniądze, lecz o solidarność, która wymaga od bohatera dużego samozaparcia, w ogóle — dużej walki wewnętrznej. Dotychczas powierzchowny, ale błyskotliwy western obciążany zostaje częstymi zbliżeniami nerwowo skupionej, spoconej twarzy, pojawiają się pytania, lecz odpowiedzi na nie western nie potrafi udźwignąć.

I wtedy zaczynają się kłopoty. Jesteśmy zmuszeni do ocen na serio. Trudno już traktować ulgowo niektóre naiwności, jak na przykład postępowanie bandyty, który w końcu pomaga bohaterowi filmu Danowi zawieźć się do więzienia. Trudno nie dostrzec fałszu i banału w schemacie: jeden odważny na tle całej masy poczciwców, starców, a nawet tchórzy. Przypomina się, że przecież właśnie w pustynnych okolicach Portu Yuma, na zetknięciu się Arizony, Kalifornii i Nowego Meksyku działało niegdyś szczególnie sprawnie straszne prawo „uncle lynche“, w obliczu którego drżeli nawet najodważniejsi, jeśli przyszło im narazić się na interwencję tego właśnie prawa, a raczej samosądu.

Oczywiście, „15.10 do Yumy“ nie jest jednym z setki tych westernów, które produkuje się masowo dla ubawienia najmniej wybrednego tłumu. Na naszych ekranach jeszcze zresztą ciągle wyświetlane są pozycje starannie wyselekcjonowane, a moim zdaniem — najgorszy western znośniejszy jest od najgorszego melodramatu. „Yumę“ ogląda się nawet z przyjemnością. Byle tylko nie przeceniać całej strony psychologicznej tego filmu, która ma rzekomo stanowić o jego artystycznej wartości.

„KRZYŻACY“ W PARYŻU

(Korespondencja własna)

26-go maja w sali kina „Gaumont Palace“ w Paryżu odbyła się premiera „Krzyżaków“ (tytuł francuski: „Les chevaliers teutoniques“). Pięć tysięcy widzów oklaskiwało film, a wśród nich ambasador PRL M. Gajewski, przedstawiciele kinematografii francuskiej — Arletty, Charrier, Hossein, ze strony polskiej — Aleksander Ford, Jerzy Kawalerowicz, Lucyna Winnicka. Ukazanie się filmu zostało poprzedzone szeroką reklamą: ogromne kolorowe afisze — *„Najgigantyczniejsza realizacja kinematografii europejskiej“!* Film jest wyświetlany w wersji francuskiej, na ogromnym ekranie, w centrum Paryża, jednym słowem — wszelkie szanse na powodzenie.

Jeszcze przed ukazaniem się filmu „L'Express“ informuje swych czytelników w notatce zatytułowanej „Walter Scott w demokracji ludowej“: — *„Film-rzeka, bogaty w kolory, nie pozbawiony wartości epickich. W tej opowieści o dzielnych są jednak tylko urywki o dzielności, i „Krzyżacy“ każą myśleć o jakimś Walter Scottcie, realizatorze, który przeszedł na emeryturę w kraju demokracji ludowej“.* Jak więc widzimy, pan Morvan Lebesque, recenzent Expressu nie był zbyt wyrozumiały dla naszego debiutu w kategorii „gigantycznych realizacji“... Bardziej pochlebna recenzja ukazała się w „Journal du Dimanche“, a „France Soir“ relacjonując przebieg premiery pisze: *„W Gaumont Palace oklaskiwano tej nocy, w stosunku 1:10 (5000 widzów na 50.000 aktorów) premierę wielkiego polskiego filmu „Krzyżacy“. „Ben Hura“ Warszawy, największa superprodukcja „a la americaine“, zrealizowana w Europie...“.*

Oglądając film miałem możliwość zaobserwować reakcje publiczności. Jest bardzo przychylna, jakkolwiek padają głosy krytyki, zarzucając zbytnią teatralność widowiska. Korzystając z okazji, mała ciekawostka, może trochę nie na temat: w czasie trwania spektaklu dyrekcja kina została zaalarmowana, iż na salę podrzucono bombę zegarową. W ciągu kilku minut ewakuowano salę, lecz alarm okazał się fałszywym, i po krótkiej przerwie seans podjęto. To drobne zajście doskonale charakteryzuje atmosferę zamachów terrorystycznych panującą obecnie w Paryżu.

S. STAN-WIŚNIEWSKI

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

„JAK ZABIĆ STARSZĄ PANIĄ?“

Film reżyserii A. Mackendricka, „Jak zabić starszą panią?“ prezentuje humor angielski w najlepszej formie. Bawimy się na nim znakomicie, mimo że niezbyt często wybuchamy głośnym śmiechem. Cieszą nas w komedii wyspiarzy sytuacje i bohaterowie, którzy są bardziej powściągliwi aniżeli ich koledzy z nieangielskich komedii. Stają oni równie często w nieprawdopodobnych sytuacjach, wychodzą z nich jednak nie przy pomocy gagowego trafu, lecz sprytu, spokoju i inteligencji. Często autorzy filmu stawiają nas w obliczu pointy sytuacji, nie uczestniczymy w jej przebiegu — uzyskują w ten sposób nieobliczalne efekty komiczne (przykładem może być powtarzająca się kilkakrotnie scena pozbywania się na moście kolejowym współtowarzyszy napadu).

Tak, jak na każdej angielskiej komedii tak i na filmie Mackendricka widz skupia uwagę na dialogu, w którym ujawnia się cała specyfika humoru Anglików. Tej uwagi żądają od widzów na swoich komediach Anglicy, bowiem wymaga jej to, co w ich filmach przynosi najwięcej rozrywki — bogactwo przezabawnych szczegółów, które szkoda zgubić.

Do tych charakterystycznych cech komedii angielskiej twórcy filmu „Jak zabić starszą panią?“ dodali potężną porcję groteskowej makabry. Makabra filmu Mackendricka nie mrozi krwi w żyłach, lecz dzięki umiejętnym zabiegom reżysera i wykonawców — śmieszy, traci swą grozę, ukazuje się w krzywym zwierciadle. A wykonawców „Starsza pani“ ma znakomitych — począwszy od wspaniałego A. Guinessa a skończywszy na epizodach — nie ma w filmie postaci chybionych. Jedno trzeba jednak stwierdzić — bez Guinessa, „Jak zabić starszą panią?“ nie byłby filmem tak godnym polecenia. Aktor znany u nas choćby z „Końskiego pyska“ i „Szajki z Lawendowego Wzgórza“ odtwarza tu jedna ze swych najlepszych i najśmieszniejszych postaci — prof. Marcusa, pomysłodawcę i przywódcę napadu „doskonałego“ i nieudanej — z „dżentelmeńskich“ względów — zbrodni.

E. N.

EWA NURCZYŃSKA

V ZJAZD DKF

Przed kilkoma tygodniami pisałam na tym samym miejscu o działalności i problemach łódzkich Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Sprawa ponownie się zaktualizowała, gdyż w dniach 20—21 maja odbył się w Warszawie V Zjazd Polskiej Federacji DKF, na którym obradowali reprezentanci 30 tys. członków ze 160 klubów z całej Polski. Liczby te wypadają dość imponująco i niewątpliwie świadczą o dużym rozmachu działalności klubów filmowych w Polsce.

Obrady plenarne Zjazdu, dyskusje w komisjach i wreszcie końcowe wnioski potwierdziły spostrzeżenia i uwagi, które podkreśliliśmy na łamach „Odgłosów“ przy omawianiu problemów łódzkich DKF.

Kluby istnieją, jest ich dużo, zdaniem nawet niektórych członków Rady Federacji — za dużo, gdyż w formie w jakiej istnieją nie spełniają swej zasadniczej działalności.

Borykając się z doprawdy dużymi trudnościami finansowymi i organizacyjnymi (zwłaszcza w klubach prowincjonalnych) DKF zapominają o swym istotnym przeznaczeniu aby bawić swojego widza, ale jednocześnie uczyć go patrzeć na film. Sprawy programowe i zrozumienie przeznaczenia estetycznego klubów oto najsłabsza strona pracy rad klubów.

Na brak zdecydowanego oblicza klubów, ich wahania w wyborze między dość komercyjnym repertuarem (tłumaczonym trudnościami fi-

→

MARIA KORNATOWSKA

„ROMEO, JULIA i CIEMNOŚĆ"

„Mur jest wysoki i trudny do przejścia
a miejsce zgubne...
Na skrzydłach miłości
Lekko, bezpiecznie mur ten przesadziłem
Bo miłość nie zna żadnych tam i granic
A co potrafi, na to się i waży"
(W. Szekspir („Romeo i Julia")

„Romeo i Julia" Szekspira to nie tylko poemat o miłości, to również wielki dramat bun tu młodości przeciwko światu dorosłych, przeciwko prawom tego świata, łamiącym ludzkie szczęście. Ów bunt kończy się u Szekspira triumfem młodości, triumfem zaprawionym jednak dozą goryczy i melancholii. Nad wspólnym grobem dwojga kochanków pogodzą się zwaśnione rody Montecchi i Capuletti.

Bunt Hany i Pawła, ich ucieczka z mroków niemieckiego terroru zakończy się tragicznie, zakończy się klęską. Zamknięta przezorną ręką brama na zawsze rozdzieli kochanków. Ciemności zwyciężą. Wydaje się że analogia między tragedią kochanków z Werony, a tragedią Hany i Pawła leży nie tyle w płaszczyźnie miłości jako uczucia skończonego i absolutnego, ile właśnie w płaszczyźnie miłości rozumianej jako wyraz buntu i protestu przeciw czasom konformizmu. Wskazuje na to choćby układ świata, jaki prezentuje Weiss w swoim filmie. Z jednej strony dwoje młodych (i zdziwaczały dziadek), z drugiej strony Niemcy — niemal bezosobowa siła zła i przemocy, oraz ludzie, którzy godzą się ze złem, którzy próbują przystosować się by żyć. (Matka, Kubiasowa).

I w zasadzie głównym konfliktem filmu nie jest bynajmniej, wbrew pozorom, konflikt kochankowie — wojna (Niemcy), ale właśnie ów wybiegający daleko poza ramy wojny i okupacji konflikt buntu i konformizmu, walki i rezygnacji. To ciasna filozofia życiowa matki i Kubiasowej staną się przyczyną śmierci Hany. Zaś dobroduszny stróż, zgodnie ze „zdrowym rozsądkiem" starannie zamknie bramę, za którą czyha śmierć. Albowiem są to już czasy odległe od czasów Szekspira, w których siły „rozsądku" mocniejsze są nad miłość, która *„nie zna żadnych tam i granic, a co potrafi na to się i waży"* Zwycięstwo konformizmu w filmie Weissa jest tylko zwycięstwem pozornym, bowiem łączy się ono z jednoczesną klęską moralną. W ostatecznym rachunku nie tylko Kubiasowa ale i matka zostają osądzone i włączone do krainy ciemności.

Takie ujęcie problemu nadaje filmowi Weissa o wiele głębszy sens, wybiegający jak już powiedziałam, poza określone historycznie granice czasów wojny. Stawia ten film w rzędzie dzieł, jakie od niedawna poczęły się pojawiać na ekranach świata, dzieł, które zwykło się określać mianem neoromantycznych. Ów neoromantyzm przenika z ogromną siłą czeską wersję Romea i Julii, określając nie tylko jej filozofię ale i poetykę. Poetykę tragedii, w której tok wydarzeń z nieubłaganym fatalizmem prowadzi do końcowej katastrofy.

U Szekspira przyczyną katastrofy stał się tragiczny przypadek (wybuch zarazy i zatrzymanie posłańca z listem). Podobnie u Weissa (historia z pieskiem, odkrycie Kubiasowej). Ale nieszczęśliwy zbieg okoliczności jest w czeskim filmie nie tyle momentem decydującym o dalszych losach bohaterów, ile starcia dwóch postaw moralnych. I dopiero rezultat tego starcia określi bieg wypadków. Cały szereg umiejętnie rozłożonych momentów i sytuacji dramatycznych przypomina widzowi o istnieniu siły, która w każdej chwili może zniszczyć kruche istnienie miłości. Ta siła, rzecz znamienna, przejawia się w bardzo starannie opracowanej sferze muzyki i dźwięku (gwizdy ptaków i żołnierzy towarzyszące całej akcji, niemieckie marsze, ryki motorów, wrzaski głośników).

Mały, zamknięty pokoik Hany jest królestwem, do którego nie przedzierają się owe natrętne odgłosy wojny. To jest jedyne miejsce ucieczki ze świata ciemności. Jedyne miejsce, gdzie w ukochanych ramionach odzyskać można błękit nieba, uśmiech lata i słońca, jedyne miejsce, skąd widać gwiazdy. I tu tkwi źródło tragizmu współczesnej wersji kochanków z Werony. Źródło tragizmu i zarazem gorzkiego optymizmu. Miłość jest dla Weissa jedyną, rozpaczliwą formą ocalenia człowieka osaczonego w ciemnościach, formą buntu i protestu, formą walki, wyzwaniem przemocy. U Szekspira miłość jest siłą, która potrafi przeobrazić świat, u Weissa może jedynie ocalić człowieka, uchronić go przed unicestwieniem moralnym. I dlatego twórca obdarza swych bohaterów miłością. Wracamy zatem do punktu wyjściowego, do konfliktu typowego dla neoromantyzmu („Krzyk", „Kochankowie", „Białe noce", „Hiroszima moja miłość"). We wszystkich tych filmach, mimo iż skazana na zagładę, miłość staje się jedyną szansą, jedynym i ostatecznym sensem życia bohaterów.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„RÓŻE DLA PROKURATORA"

Sprawy składu osobowego zachodnio-niemieckiego aparatu sprawiedliwości i prokuratury opierającego się w większości na sędziach i prokuratorach hitlerowskich są znane chyba wszystkim. Poświęca im wiele miejsca nasza prasa, nie pozostał w tyle również nasz film. Mam tu na myśli niedawno wyświetlany „Czas przeszły" Leonarda Buczkowskiego.

O tym, że w NRF są ludzie nie obojętni na te sprawy — świadczy film reż. Wolfganga Staudte „Róże dla prokuratora". Reżyser tego filmu konsekwentnie od szeregu lat podejmuje w swojej twórczości temat rozrachunku z hitleryzmem, szuka źródeł jego powstania („Poddany") ukazuje jego popleczników, ich morale i mentalność („Mordercy są wśród nas") i wreszcie daje obraz współczesnej egzystencji ex-hitlerowców w NRF.

„Róże dla prokuratora" stanowią kontynuację wymienionych filmów, mimo, że bohaterowie poprzednich filmów działali w innym czasie, a nawet nosili inne nazwiska. Film Wolfganga Staudte jest gorzką komedią dla obywateli NRF. Staudte godzi bowiem nie tylko w ex-hitlerowców zajmujących obecnie wysokie stanowiska, ale również celuje szerzej — w ową usłużność ludzkiej pamięci, bierność społeczeństwa zachodnio-niemieckiego, w rolę „cudu gospodarczego" stanowiącego kurtynę osłaniającą nieuregulowany jeszcze rachunek niedawnej klęski i zbrodni hitlerowskich dokonanych przez wodzów i ich pomocników.

Takim pomocnikiem jest bohater filmu — prokurator w jednym z miast zachodnio-niemieckich. Spotkanego przypadkowego wędrownego handlarza zaczyna się on panicznie bać i rozpoczyna z nim wojnę nerwów, wykorzystując przy tym oczywiście swoje stanowisko prokuratorskie. Co jest przyczyną strachu pana prokuratora? Otóż w czasie wojny dzisiejszy prokurator również pracował w swoim fachu jako oskarżyciel w hitlerowskich sądach wojennych. Pewnego dnia w przede dniu klęski III Rzeszy skazał na karę śmierci żołnierza, tylko dlatego, że ten kupił dla siebie kradzioną czekoladę. Ów człowiek przez przypadek umknął śmierci i po wojnie został wędrownym handlarzem krawatów, trafiając wreszcie w jednym z miast na swego kata. Obecność byłego skazańca w świecie żywych nie pasuje panu prokuratorowi do starannie odczyszczonej i spreparowanej ankiety personalnej. Ex-hitlerowiec ma nie tylko to na sumieniu. Wykorzystując urząd prokuratora jest bardzo pobłażliwy, a nawet usłużny dla swych hitlerowskich kompanów. Ułatwia im ucieczki za granicę, opiekuje się ich rodzinami.

Autor scenariusza, Georg Hourdalek, musiał pójść jednak na pewne ustępstwa wobec czynników oficjalnych. Oto w finale dał obraz stróżów praworządności bońskiej władzy, mających na oku hitlerowskiego prokuratora i czyhających tylko na to, ażeby wpadł. Trudno wierzyć w ich dobre intencje choćby dla takich faktów jak wszystkim znana owocna działalność tego rodzaju panów co Globke lub Oberlaender.

Jak zawsze w filmach Wolfganga Staudte bardzo sprawna reżyseria podkreśla punkty poszczególnych sytuacji, eksponuje świetne aktorstwo Martina Helda w roli prokuratora oraz Waltera Gillera jako komiwojażera.

V ZJAZD DKF

Dokończenie ze str. 3

nansowymi) a ambitnymi i wybitnymi pozycjami wpływa bez wątpienia brak określonego stanowiska samej Rady Federacji, której członkowie mają często zupełnie rozbieżne poglądy na te problemy.

Rada Federacji i Rady Okręgowe zbyt mało wysiłku kierowały dotychczas na problemy szerzenia estetyki filmowej w klubach. Brak prelegentów — odczuwany także i w Łodzi — jest w klubach miast pomniejszych prawdziwą klęską. Rada nie wyszkoliła kadr, nie dokonała weryfikacji istniejących prelegentów.

Działacze klubów to dobrzy organizatorzy, ale najczęściej słabi znawcy filmu — jego spraw estetycznych, społeczno politycznych, psychologicznych czy socjologicznych. Redagowany przez L. Bukowieckiego „Biuletyn", który miał być pomocą dla działaczy klubowych nie stał się w zasadzie żadnym pismem programowym, a sposób jego redagowania pozostawia wiele do życzenia.

Uchwały podjęte przez Zjazd mogą jednak napawać nadzieją, że kadencja działalności nowo wybranej Rady (której skład nie uległ jednak zasadniczym zmianom) przyniesie znaczną poprawę obecnego stanu rzeczy.

Podstawą działalności federacji i klubów ma się stać perspektywiczny plan pracy. W pracy klubów postanowiono uwzględniać poza zagadnieniami estetyki filmowej problemy, o których wyżej wspominałem, a więc społ.-polityczne, psychologiczne i socjoligczne. Ten cel można osiągnąć jedynie przez podniesienie kwalifikacji prelegentów i działaczy klubowych, przez zmianę form i zakresu problematyki „Biuletynu".

Niewątpliwą pomocą, a przede wszystkim dużą szansą dla klubów, są rozszerzone możliwości repertuarowe. Do grupy filmów otrzymywanych z CAF i CWF doszły filmy „powtórkowe" oraz stale nowe pozycje z puli filmów przeznaczonych wyłącznie dla DKF.

Może dość niespodziewanie silnie wystąpił na Zjeździe problem filmowego kształcenia dzieci i młodzieży poprzez zakładanie klubów i sekcji filmowych w szkołach, domach kultury i organizacjach młodzieżowych. Ma to być pierwszy etap wprowadzenia elementów wiedzy o filmie do szkół.

Działalność i akcja Komisji Młodzieżowej Polskiej Federacji DKF znalazła duże poparcie w Ministerstwie Oświaty. Podjęto już wiele konkretnych kroków mających dać początek tej niesłychanie istotnej akcji. Sporządzono kopie 60 filmów, przeznaczonych do wyświetlania w szkołach. Postanowiono urządzić w czasie wakacji kurs dla 100 nauczycieli z całej Polski, przygotowujący ich do pracy w Młodzieżowych Dyskusyjnych Klubach Filmowych.

Podkreślono na Zjeździe duże możliwości w tej akcji właśnie Łodzi, która ma do dyspozycji fachowców kończących studia na UŁ, gdzie istnieje Zakład Wiedzy o Filmie. Tu gorący apel do czynników oświatowych łódzkiego kuratorium aby nie pominęły w swych planach tak bardzo ważnego problemu jakim jest wprowadzenie filmu do szkół. Pierwsza rozmowa przeprowadzona z kuratorem ob. Woźniakowskim rokuje nadzieje na poparcie akcji podjętej przez Ministerstwo Oświaty i Polską Federację Dyskusyjnych Klubów Filmowych.

EWA NURCZYŃSKA

MIESZANKA FILMOWA
MIESZANKA FILMOWA
MIESZANKA FILMOWA
MIESZANKA FILMOWA

JERZY WILMAŃSKI

CZY NAPRAWDĘ DZIECI TRUDNE?

„Dzieci największy skarb, dzieci przyszłość narodu" — te slogany znamy wszyscy i cóż dużo mówić, akceptujemy je. Trudno zresztą nie akceptować. A że komuś tam czasem, rodzicom czy nauczycielowi włosy dzięki tym „skarbom" posiwieją, to zawsze tak było. Od Adama i Ewy do socjalizmu włącznie.

ABY WŁOSY NIE SIWIAŁY

Właśnie! Aby włosy nie siwiały, aby slogany o „skarbie" i „przyszłości narodu" zyskały moc obowiązującą dbają m. inn. przemiłe panie Wiesława Duńcowa i Anna Kossowska z TPD-owskiej poradni społeczno-wychowawczej przy ul. Kaliskiej. Istnieją w Łodzi trzy poradnie tego typu i od razu trzeba stwierdzić, że jest to kompromitująco mało. O potrzebie tego rodzaju placówek świadczy fakt, że na Kaliską przyjeżdżają dzieci nawet z odległych Chocianowic. Przy chodnia obok porad natury wychowawczej leczy również wszystkie niemal wady wymowy. To może trochę śmieszne, że dzieciom zadaje się do domu ćwiczenia w rodzaju: „język w prawo, język w lewo" itp. wykonywane obowiązkowo przed lustrem. Ale już zupełnie nie kwalifikuje się jako temat do żarcików fakt, iż po jakimś czasie dzieci te mówią zupełnie normalnie. Często błędy wymowy pociągają za sobą również błędy w pisowni. Dziecko, na przykład, sepleniące pisze z reguły tak jak mówi i wystarczy nauczyć go poprawnej artykulacji aby nastąpiła poprawa w pisowni.

Prawie trzydzieści takich nieszczęśliwych istotek odwiedza przychodnię na Kaliskiej. Zarówno rozpiętość wieku jak i zróżnicowanie rodzajów zaburzeń — bardzo duże. Gdzie jednak tkwi przyczyna tych schorzeń, bo są to przecież schorzenia? Wystarczy zajrzeć do kartoteki. Często, zbyt często powtarza się zdanie: „Ojciec po pijanemu urządza awantury".

WIOSNA IDZIE

Do niewielkiego pokoiku przy ul. Kaliskiej pukają często rodzice, pukają nauczyciele. Proszą o pomoc, powiadają: „ja już nie mogę dać rady". Pracujące tutaj panie, pedagog i psycholog cudotwórcami nie są, a jednak z reguły dają sobie z owymi trudnymi dziećmi radę. Niestety, bardzo często stan dziecka wymaga natychmiastowej interwencji nie pedagoga lecz... psychiatry. Wtedy dziecko kieruje się do poradni psychiatrycznej przy ul. Przędzalnianej. Nie ma bowiem w Łodzi poradni tego typu dla dzieci, a szkoda, gdyż jak praktyka uczy jest ona — to smutne — bardzo potrzebna.

Często zjawiają się na Kaliskiej zdziwione wychowawczynie z dzieckiem sprawiającym „trudności wychowawcze". Zdziwione dlatego, że „dotychczas dziecko było w miarę spokojne, a ostatnio stało się niemożliwe". Otóż jak się dowiadujemy, dzieci te stają się nieznośne właśnie na wiosnę, przed zmianą pogody... PIHM mógłby bardzo dokładnie przepowiadać pogodę gdyby miał „na etacie" kilkoro takich trudnych dzieci. Nauczyciele jednak zazwyczaj o tym nie wiedzą. Lecz tutaj należy mieć pretensje nie tyle do nauczyciela, ile do systemu kształcenia pedagogów. Absolwent uniwersytetu a więc nauczyciel o tzw. pełnych kwalifikacjach nie ma za sobą choć by krótkiego kursu psychologii.

RÓŻECZKĄ DUCH ŚWIĘTY DZIATECZKI BIĆ RADZI...

Nie radzą tego jednak w żadnym wypadku doświadczeni pedagodzy. Opowiadano mi zdarzenie dotyczące dziewczynki, która miała bardzo „lepkie" ręce. Z tego też względu na skutek nasilenia wypadków kradzieży szkoła skierowała ją do poradni.

Już w czasie gdy dziewczynka znajdowała się pod opieką zdarzyło się, że ukradła w „SAM" baton czekoladowy. Przyłapanej na kradzieży kazano przyjść z matką. Ale dziecko było w domu niesłychanie bite, bało się więc przyznać matce do przestępstwa. Na szczęście, jak już pisałem, dziewczynka była pod opieką poradni i tu zwróciła się o pomoc. Sprawę wyjaśniono i zażegnano, a dziewczę (to wcale nie jest umoralniająca opowiastka) od tego czasu zmieniło się absolutnie, co zgodnie stwierdzają szkoła, matka i poradnia. To czego dom nie zdziałał głupim i bezmyślnym biciem, zdziałała pani Kossowska zaufaniem i dobrocią.

Podobną historię opowiadała mi kierowniczka poradni społeczno-wychowawczej z ul. Zawiszy na Bałutach p. Nowicka. Otóż przyszedł po pomoc ojciec, którego syn uciekał z domu. „Z góry wiedziałam — mówi p. Nowicka — że dziecko jest bite. Początkowo ojciec zaprzeczał, potem przyznał, że bije chłopaka".

Kiedy poradzono mu, żeby tych praktyk zaniechał gdyż dziecko będzie uciekało już nie na kilka godzin czy dzień ale na dłużej — nie usłuchał. Jak nie trudno zgadnąć doszło do ucieczki, która przeciągnęła się kilka dni.

WALKA NA DWA FRONTY

Nielekki żywot mają pracownicy poradni społeczno-wychowawczych prowadząc walkę o dziecko na dwa fronty. Nieraz trzeba dla dobra malca walczyć mimo a czasem wbrew rodzicom. Nieraz trzeba, gdyż tego wymaga sprawiedliwość, wziąć dziecko w obronę w konflikcie ze szkołą.

Rodzice często traktują dziecko jak ósmy cud świata, od najmłodszych lat pozwalają mu na zbyt wiele i raptem... dochodzą do wniosku, że to dziecko ma już czternaście lat i trzęsie całym domem. Wtedy poradnia staje się ową przysłowiową deską ratunku, pomaga odplątać co to nierozważni rodzice zaplątali. Ale w tej pracy nie można stosować „przodującej" metody gordyjskiego węzła. Tutaj trzeba wiele cierpliwości, taktu, spokoju... Rozplątywanie trwać musi miesiącami i nie zawsze się udaje.

To jeszcze pół biedy, gdy dobra wola rodziców wspomagana przez doświadczenie pedagogów zjednoczą się dla dobra dziecka. Ale gdy dziecko zachęcane przez starszych bierze udział w alkoholowych libacjach? Gdy ośmioletnia, powiedzmy, dziewczynka idzie spać z reguły o godzinie 23 gdyż... rodzice i sąsiedzi oglądają program telewizyjny, a pokój jest tylko jeden? W takich wypadkach niewiele można dla dziecka dobrego zdziałać. Głupota i bezmyślność rodziców uniemożliwiają każde sensowne przeciwdziałanie.

A szkoła? Tak już jest, że zazwyczaj rodzice mają pretensje do szkoły, a szkoła z kolei do rodziców. Prawda jak zwykle leży pośrodku. A więc i szkoła musi przyjąć na siebie część winy. Ot, skierowano na przykład do poradni chłopca, który sprawiał nauczycielom niebywałe ponoć trudności wychowawcze. Chłopiec ten od dłuższego czasu obserwowany jest przez doświadczonych pedagogów i psychologów, którzy — jako żywo — nie mogą się niczego złego w dziecku dopatrzeć. Nie chcę być złośliwy, ale sądzę, że gdyby tak poobserwować tych, którzy go do poradni skierowali — zagadka by się z pewnością wyjaśniła.

W poradni na Bałutach widziałem kartotekę dziewczynki, która chodząc do czwartej klasy miała już... ośmiu wychowawców. Obecnie (w czwartej klasie!) każdego przedmiotu uczy ją inny nauczyciel.

A CO NA BAŁUTACH?

Na Bałutach mieszka 28.000 dzieci w wieku szkoły podstawowej. Poradnia społeczno-wychowawcza zarejestrowała 108 dzieci trudnych. To oczywiście nie świadczy o braku dzieci potrzebujących pomocy. To świadczy raczej o ograniczonych możliwościach trzyosobowego personelu pracującego w czterech miniaturowych pokoikach.

Pani Wiesława Duńcowa, kierownik Poradni Społeczno Wychowawczej przy ul. Kaliskiej

Ale właśnie tu, w bałuckiej poradni, podjęto ciekawą inicjatywę. Postanowiono mianowicie, zająć się przede wszystkim dziećmi w wieku przedszkolnym i przygotować je do przyszłej nauki, zapewnić dzieciom różnych środowisk równy start.

Poradnia stara się również aby szkoły „widziały" jakoś ucznia zanim się on owym uczniem stanie. A więc przeprowadzono badania. Przebadano ponad 170 dzieci i stwierdzono:

1. dziecko uczęszczające do przedszkola góruje zdecydowanie umysłowo nad dzieckiem do przedszkola nie uczęszczającym. (tutaj trzeba przypomnieć, że około 70% łódzkich dzieci do przedszkoli nie uczęszcza, co zresztą nie jest wskaźnikiem najgorszym, bowiem średnio, w skali krajowej procent ten kształtuje się w granicach 87).

2. trudne warunki mieszkaniowe idą w parze z zahamowaniami umysłowymi dziecka.

Pozornie żadna rewelacja. Nie o rewelacje zresztą tutaj idzie. Z badań tych bowiem wyciągnięto praktyczny wniosek. Ponieważ sytuacji mieszkaniowej od razu zmienić nie jesteśmy w stanie organizujmy więcej przedszkoli. Ponieważ jednak nowe przedszkola to rzecz również bardzo kosztowna, organizujmy tzw. ogniska przedszkolne.

Jak to ma wyglądać? Otóż po południu w lokalach szkół czy przedszkoli odbywać się będą trzy-cztery razy tygodniowo „kursy dokształcające" dla sześciolatków idących w następnym roku do szkoły. Proste, niedrogie, a zapewni dzieciom mniej więcej równy start.

„Dzieci — słońce i radość, dzieci — najdroższy skarb" — napisał kiedyś Konstanty Ildefons Gałczyński, a myślał z pewnością o wszystkich dzieciach. Bo dziecko niezależnie od tego czy sprawia „trudności wychowawcze" czy nie, jest jednak posługując się sloganem poety „radością i słońcem".

Piszę to z całą odpowiedzialnością, mimo iż mój dwuletni syn od piętnastu minut usiłował przewrócić kałamarz. Co mu się zresztą w zupełności udało.

Zdjęcia: E. Kudaj

Ratusz w Łęczycy *Foto: W. Kraska*

ŁĘCZYCA

WOJEWÓDZTWO NAJBLIŻSZE

Nikogo chyba nie trzeba specjalnie przekonywać o tym, że Łęczyca jest miastem starym i historycznym. To wie każde dziecko. Z powodzeniem można by do Łęczycy odnieść dotyczące Krakowa powiedzonko, że „każdy kamień jest tu pamiątką". Już setki lat temu, a mianowicie w 1180 r. miasto gościło polskich książąt, którzy tutaj odbywali jakieś niezwykle ważne konferencje.

Łęczyca jest jednak zbyt stara, aby mogła zachować swój dawny wygląd. Widoczny na zdjęciu rynek również nie oparł się czasowi. Pierwotnie był dużo mniejszy — obecnie został powiększony i kształt na skutek wyburzenia od strony południowej gmachu /kolegium jezuickiego również zmienił się zupełnie.

Widoczny w głębi ratusz także nie jest zbyt sędziwym zabytkiem. Zbudowano go bowiem w latach 1788 - 90, a przebudowano w początkach XIX wieku. Projektantem ratusza był młody, bo wówczas 29-letni architekt okresu klasycyzmu imć Jakub Kubicki. To nazwisko, rzecz prosta, niewiele mówi. Dowiedzieć się więc wypada, że Jakub Kubicki jest również autorem warszawskiego Belwederu.

Ratusz w Łęczycy był jednak jedną z pierwszych budowali architekta i w stylu od biega nieco od jego późniejszych projektów.....

J.W.

CZERWONE ZŁOTO

Ludwika IV. Lśnią srebrzyście i złoto...

— Więc panie, znalazło się u nas dwóch takich, którzy powiedzieli: że po co to się ma marnować? I chcieli coś uszczknąć. Ale najpierw roztropnie sprawdzili czy to jest naprawdę złoto. Rano milicja znalazła flaszkę z kwasem. Sarkofagi zostawili nietknięte. Są... z miedzi!

* * *

Właśnie — miedź. Niemcy też węszyli w legnickich terenach za czerwonym złotem, które tak potrzebne jest nowoczesnemu przemysłowi. Podobieństwo budowy geologicznej tych terenów do innych, w których występują bogate pokłady miedzionośne zapaliło wyobraźnię poszukiwaczy. Zresztą nie byli daleko od prawdy. Przed milionami lat tam gdzie teraz szumią dolnośląskie lasy rozlewało swoje wody Morze Cechsztyńskie. Jakieś tajemnicze prądy nanosiły wokół niego rozproszone drobiny i układały wokół pradawnego półwyspu. W ten sposób powstał „rogalik", który...

Stop. Gdybym powiedział, że jest to rogalik wybudowany z czerwonego złota, niemieccy specjaliści być może pokręciliby nosem. Zresztą jeszcze w 1956 roku również i my byliśmy skłonni twierdzić, że na naszych obszarach w rejonie kieleckiego i Dolnego Śląska posiadamy bardzo ubogie pokłady czerwonego złota. Do tego czasu za najbogatsze w Europie złoża miedzi uchodziły zasoby zalegające w okolicy miasteczka Mansfeld. Grubość tych pokładów nie przekracza 30 cm i górnicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej urabiają około 16 kg miedzi z 1 m² wydobytej calizny.

Tak. Ten metal, którego przed wiekami po raz pierwszy do pierwotnych narzędzi użyli praojcowie z epoki brązu nieczęsto występuje na

Dokończenie ze str. 1

naszym globie. Przecież wydobycie czerwonego złota na całym świecie nie przekracza w ciągu roku ogółem 3 mln ton czystej miedzi i wśród potentatów miedzianych na czele kroczą Stany Zjednoczone wydobywając ponad 900 tys. ton, a potem Chile, Zwiazek Radziecki, Rodezja, Kanada, Kongo. W tym miejscu wypadałoby postawić wielokropek. Tak, gdyż tego, czego nie udało się dopiąć specjalistom niemieckim zrobiliśmy właśnie my. Geologowie III Rzeszy mówiąc po prostu mieli pecha. Wiedzieli, że miedź gdzieś tutaj musi być. Ale gdzie leży dokładnie — nie wiedzieli. Zaledwie „nagryzali" soczysty miedziany „rogalik", którego punktami newralgicznymi są obecna Legnica, osady: Polkowice, Lubin Legnicki i Sieraszewice. A potem miast przybliżać się do centrum miedzianego skarbu — krok po kroku oddalali się od niego. W efekcie Niemcy zbudowali tutaj tylko dwie małe kopalnie w rejonie Bolesławca i Złotoryji i tak się niechlubnie skończył ich sen o miedzianej potędze III Rzeszy.

Z nami było inaczej. Pierwszymi, którzy tutaj przyszli badać byli prof. dr Zwierzycki, inżynierowie Metlewski oraz Wyrzykowski. Prawde mówiąc, to ich drogi nie były wytyczone wizją „czerwonego skarbu". Chodziło o inny rodzaj „złota" — ropę naftową. Przypadek zdarzył, że w roku 1957 na jednym ze stanowisk zamiast gejzeru ropy naftowej świder wyciągnął na powierzchnię „coś" co się okazało rudą miedzi.

I tak się zaczęło. Teraz już wiadomo, że ten „wielokropek", który pozostawiłem po wyliczeniu wszystkich sześciu światowych potęg miedzianych wypełni się słowem POLSKA. Pokłady zalegające w rejonie Polkowic, Lubina Legnickiego i Sieraszewic, są wielokrotnie grubsze od tych, które do niedawna nosiły miano najbogatszych w Europie.

* * *

To już nie jest dawny „hinterland". We Wrocławiu, w Legnicy, choćby od ludzi, którzy kierują pracami przy budowie Legnickiego Zagłębia Miedziowego można się dowiedzieć o przeobrażeniach, które czekają te tereny. Jeżeli do czytelników przemawiają wielkie liczby to śpieszę ich poinformować, że na budowę kopalni miedzi na Dolnym Śląsku wydatkujemy sumę około 22 miliardów złotych. Inwestycja ta nie ma odpowiednika, ani żadnego precedensu, jest większa od każdej największej inwestycji jaką do tej pory prowadziliśmy. W porównaniu z „polską" miedzią nawet Nowa Huta jest karłem.

— No dobrze, mówią malkontenci, ale czy to tak naprawdę nam się opłaci pchać w legnicką ziemię miliardy złociszów?

Opłaci się. Czy wiecie, że: kable elektryczne, telefoniczne, wszelkiego typu łożyska, łuski karabinów i pocisków, części maszyn elektrycznych, klamki, aparatura chemiczna, transformatory, gniazdka, części zegarków, galanteria dekoracyjna, suwaki matematyczne, instrumenty muzyczne, cała aparatura nawigacyjna na statkach, wreszcie miliony innych przedmiotów niezbędnych do życia współczesnemu człowiekowi i nowoczesnej technice — wyrabia się z miedzi?

Ale to tylko jedna strona „miedzianego medalu". Jest jeszcze inna, kto wie, czy nie bardziej przemawiająca do zdrowego rozsądku Polaków. Inżynierowie z lubińskiej kopalni dokonali na moich oczach pewnego obliczenia. Wynika z niego niedwuznacznie, że po pełnym uruchomieniu lubińska kopalnia będzie zakładem, którego wartość „produkcji" wydobytej z brzucha matki-ziemi równa będzie wielkiej fabryce samochodów wypuszczającej dziennie ze swoich taśm montażowych 200 wozów wartości od 900 do 1.000 dolarów za sztukę. Ale to jeszcze nie wszystko, bo oprócz miedzi w Polkowicach, Lubinie Legnickim i Sieraszewicach leżą inne metale towarzyszące „czerwonemu złotu": srebro, kobalt oraz inne rzadkie surowce, które nieznaczną częścią swojej wartości w pełni pokryją koszty eksploatacji lubińsko-polkowickiego zagłębia.

A więc — Klondyke? Na razie jest to wielka mało — gigantyczna wprost lodówka z której na dobrą sprawę mogliby korzystać wszyscy mieszkańcy Polski. Dolnośląska ziemia nie łatwo wydaje swoje skarby. W podziemnych korytarzach kopalń polkowickiej i Lubina Legnickiego rozpętały się wszystkie nieszczęścia, które mogą zagrażać górnikowi: kurzawka i woda. Najpierw więc trzeba było ujarzmić siły przyrody. Nie pomogła metoda prof. Cebertowicza. Sięgnięto więc po inną. I z ziemi legnickiej, przynajmniej jej dużego fragmentu zrobiono właśnie ową... „lodówkę". Wygląda to tak jakby w ziemię jakieś ciekawe maszyny wepchnęły swoje nosy. W praktyce to tylko odgałęzienia olbrzymiego agregatu, który w ciągu jednej godziny produkuje około 600 tysięcy kalorii. W ostatecznym efekcie w szybach polkowickiej kopalni nawet w ciągu upalnego lata będzie panował „chłodek". Tuż przy powierzchni będzie nawet siarczysty mróz sięgający kilkunastu stopni! Wszystko po to by woda i kurzawka przestały być groźne, by zamieniły się w lodowaty pancerz przez który mimo pozorów, człowiekowi łatwiej sięgnąć po czerwone złoto.

— To już niedługo. Takie jest przynajmniej zdanie człowieka, który ma „na swojej głowie" budowę miedzianego zagłębia — inżyniera Arkadiusza Tobolskiego. Ale sprawa nie kończy się tylko na budowie pierwszych trzech kopalń i następnych dwóch, które mają być rozlokowane w okolicy Lubina, Polkowic i Sieraszewic. W pracowniach urbanistycznych i przy biurkach ekonomistów tworzy się wielka wizja nowego zagłębia przemysłowego ulokowanego właśnie tam, gdzie Tatarzy obnosili na swoich pikach głowy piastowskiego księcia Henryka Pobożnego. W grę bowiem wchodzi wielka fabryka części do maszyn górniczych, dwie nowe huty, z których ostatnia będzie przewyższała swoją produkcją ośmiokrotnie tę ilość miedzi jaka jest w tej chwili wytapiana w już istniejącej hucie im. Waleckiego w Legnicy. A do tego dojdzie jeszcze dziesiątek zakładów różnych branż, które będą służyły miedzianemu zagłębiu i jego ludziom.

* * *

LUDZIOM. Ma tu ich przybyć z różnych części Polski około 50 tysięcy.

50 tysięcy spraw i socjologicznych problemów. Bo to prawda, że Legnica jest chyba jednym z najpiękniejszych miast na Dolnym Śląsku. Stolica polskiej miedzi na pewno przyciągnie swoim urokiem te rzesze Polaków, które z miasteczek i zapadłych dziur trafią na Śląsk prosto w objęcia wielkiego przemysłu. Ale ludzie, którzy w tej chwili torują szlaki dla tej fali już teraz zastanawiają się co zrobić by była ona możliwie najmniej burzliwa. Nie chcą by wśród tych 50 tysięcy przeważali ludzie co to ni sieją ni orzą. Nie chcą, by powtórzyła się wizja z ważykowskiego „Poematu dla dorosłych".

Być może są to prozaiczne pociągnięcia, ale jeżeli powiem, że w planach budowniczych miedzianego zagłębia na Dolnym Śląsku znajduje się taka pozycja jak budowa tylko nieznacznej ilości pomieszczeń hotelowych dla nie wielkiej części mających tu przybyć robotników, natomiast zamierza się na możliwie najszerszą skalę rozwinąć budownictwo mieszkań — to z pewnością chodzi tu o ściągnięcie do Polkowic, Sieraszewic i Lubina całych rodzin. Rodzin, które tutaj zadomowią się, znajdą trwałe miejsce oparcia.

Ale na tym nie koniec. Jeszcze przed laty Legnica to był ubogi kulturalnie skrawek Polski. Zresztą i teraz mimo 4 kin, teatru objazdowego, pięknych zabytków świadczących o polskości tych piastowskich ziem, ludzie, którzy obsiadają zbocza ruin legnickiego zamku raczej wolą „ciąć" w karcięta, aniżeli oglądać wystawy malarstwa. Zresztą są i takie dni w Legnicy, w których jedyną rozrywką jest zdmuchiwanie białej pianki znad kufla piwa.

Społeczeństwo legnickie, dopiero się rodzi. Na pewno zdecydowana większość tych ludzi, którzy mieszkają na legnickiej Marszałkowskiej nawet nie wie, że to właśnie tutaj Stanisław Wyspiański czerpał swoje natchnienie do wielu pięknych sztychów, a w roku 1526 powstał w tym mieście polski Uniwersytet, który miał bardzo żywe kontakty z Krakowem. Ludzi zainteresowała prawdopodobnie inna wzmianka, z której wynika niezbicie, że w roku 1348 Wacław I książę legnicki czerpał obfite dochody z nowo odkrytych i bardzo bogatych pokładów złota zalegających okolice Śląskich Mikołajewic, Starachowic i Wądroża.

A więc mamy do czynienia z kontynuacją „geologicznej" szansy i historii tych terenów. I oni, ci ludzie dzisiaj siedzą na podobnym bogactwie, i oni, ich ręce będą to bogactwo wydobywać. Być może wagę tego szybciej zrozumieją aniżeli planują to... planiści.

* * *

PRZYSZEDŁ NOWY CZAS. CZAS CZERWONEGO ZŁOTA — MIEDZI.

KRZYSZTOF POGORZELEC

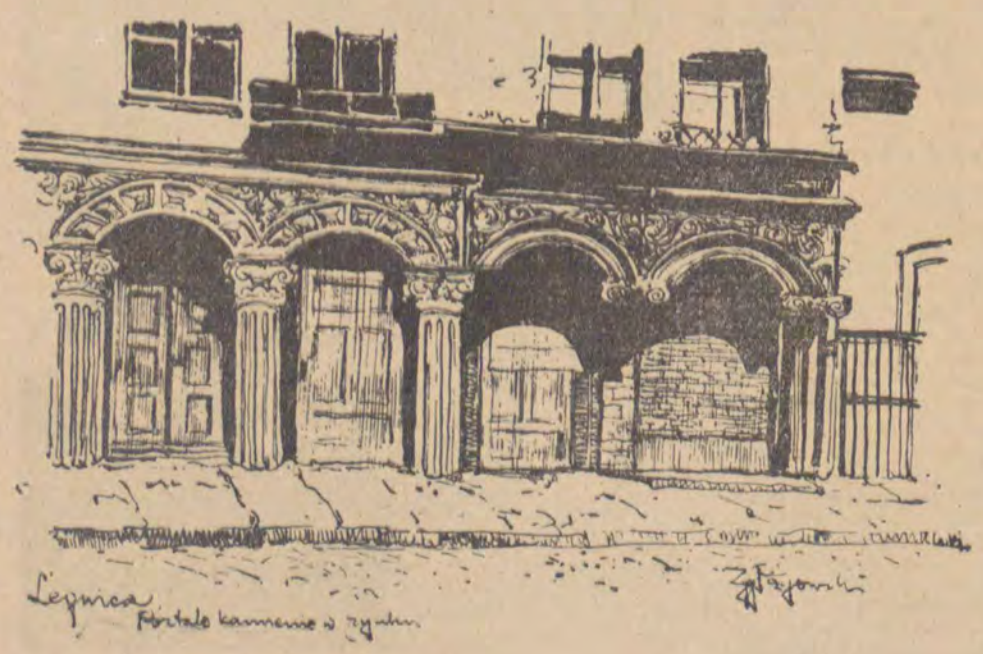

MAREK WAWRZKIEWICZ

PATRON

Obraz zaczęty od lwów. Dwa lwy leżą w głębi.
Zasłaniając pustynny, płaszczysty horyzont.

A słońce wciąż wysoko. Pewnie wiatr bokami
Przemyka się trwożliwie niosąc obłok piasku.

Ale wiatru nie widać. Piasek za obrazem.
Zajmijmy się przeto pustynną równiną
Z czarną czeluścią skały wydrążonej
(jej wnętrze niewidoczne. Pewnie głaz pośrodku
ociosany rękami. Pewnie krzyż surowy
i jeszcze mrok upalny, czarny nad posłaniem
z wiązki słomy i kilku wysuszonych liści).
Zajmijmy się lwami z początku obrazu.

Mają grzywy spłowiałe. Pazur wbity w skałę,
Ogon zamarł w bezruchu. Z języków kolczastych
Opada lepka ślina. Żyją tylko oczy —
Dwie wąskie, czujne szpary w zmrużonej powiece.

A w zasięgu ich skoku, uderzenia łapą
Siedzi człowiek. Ten człowiek, który był przede mną.
Mój patron, nędzny zewłok, garść ruchu i życia.

W ręku pióro. Tym piórem ostro zakończonym,
Nakłuwa ciemną skórę na chudym piszczelu
I pisze księgę krwią.

I wlewa w księgę mądrość krwi, mądrość pustyni,
Czarnej jamy i lwów jak on wychudzonych,
Drugą ręką odgarnia aureolę światła
Znad głowy wyliniałej. Drga nad nią powietrze.

To już koniec obrazu. Słońce wpadnie w piasek,
Zacznie się noc. Mój patron złoży wielką księgę
I wejdzie do jaskini. A lwy u jej wejścia
Położą się i tłumiąc harkot w głębi gardła
Będą słuchały życia, które je otoczy
Swoimi odgłosami: wyciem głodnych hien
I oddechem patrona w ciemności jaskini.

25 KWIETNIA 1961 r.

Wiersz „Patron" uzyskał I nagrodę w Konkursie Jednego Wiersza w czasie III Łódzkiej Wiosny Poetów

RYSZARD MAREK

OFIARA wskazuje MORDERCĘ,

HISTORYJKA Z ŻYCIA SFER KRYMINALNYCH

Ciemny pokój. Cztery zamaskowane postacie. Wchodzi Sherlock Holmes.

POSTAĆ I: Spokój! Ręce do góry. Dalej ani kroku. Tym razem zmysł dedukcji zawiódł cię, Sherloku.

HOLMES: Damm! Muszę się uszczypnąć. Toż to chyba żart.

POSTAĆ II: Wyskocz koleś z żakieta!

HOLMES: Gwałtu! Scotland Yard!

POSTAĆ III: Tu nie ma Scotland Yardu, tu są milicjanci.

POSTAĆ IV: Krzycz, krzycz. Odpowie echo pośród czterech ścian ci.

HOLMES: To pan jest szefem gangu?

POSTAĆ I: Tylko bez inwektyw!

POSTAĆ IV: Jak on śmie nazwać gangiem nasz twórczy kolektyw?

HOLMES: Cóż znaczą te przebrania?

POSTAĆ III: Wzrokiem nas nie lustruj, nie strój zdobi człowieka, mr. Holmes, lecz ustrój...

POSTAĆ II: Są twórcy, co nie piszą w myśl znanych wytycznych.

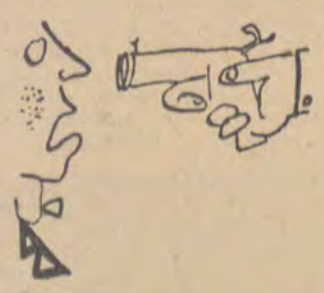

Do przestępców zalicza się ich politycznych.
Inni, znawcy tajników zbrodni i sypialni,
To są właśnie przestępcy, jak my, kryminalni.

HOLMES: Kim jesteście?

POSTAĆ III: Otacza się szczelnie nasz kordon...

POSTAĆ I: Damian.

POSTAĆ II: Joe Alex.

POSTAĆ III: Randon.

POSTAĆ IV: Ja — Barbara Gordon.

HOLMES: Lord Byron — czy to krewny?

POSTAĆ IV: Fe, shocking fatalny! Jest jeden lord w rodzinie, lecz lord rytualny. A ja pisarką jestem.

HOLMES: Sorry, mrs. Gordon.

POSTAĆ IV: Nakład mych książek milion już prawie osiąga.

HOLMES: Skąd papier?

POSTAĆ IV: Często planu nie wyrabia Fordon.

HOLMES: I pani nie dokłada do tego szeląga?

POSTAĆ II: Ona?!!!...

HOLMES: Więc chyba rząd wasz głowę przed nią chyli?

POSTAĆ III: Pewnie.

POSTAĆ I: Ostatnia w Polsce co żyje z szynszyli,

HOLMES: Ja większym cudem żyję.

POSTAĆ II: Sąd wnet wyrok wyda.

HOLMES: Sąd???

POSTAĆ III: Głos ma prokurator.

HOLMES: Miss Gordon.., Ta mi da!

POSTAĆ IV: Słynie Sherlock Holmes — bohater,
Jego faja, jego flegma.
Od Bałtyku aż do Tater
Wielbicieli rój ten czlek ma.
Zgarnia forsę i tantiemy,
A my bidni z głodu mrzemy;
Z pół tuzina wylicz, wymów
Obco brzmiących pseudonimów.
Lecz czytelnik dzisiaj wściekł się.
Nudzi Damian go i Randon,
Nie chce słyszeć o Alexie,

Wietrzy lipę, bluff i kant on.
Pada trup, broczy posoka,
Oprych wszystkich powyrzynał.
A on wzdycha do Sherlocka
I ojczysty lży kryminał.
Jeden tylko zbawi sposób
Literacką, chwacką czeladź:
Pozbyć się niemiłych osób,
Wziąć Sherlocka i rozstrzelać!

HOLMES: Rozstrzelać? Co ja słyszę? Pot mi czoło zrasza.

POSTAĆ I: Uziemimy faceta i już...

POSTAĆ II: Kobra nasza!

HOLMES: Sorry. Widzę, że kęsim chcecie sprawić wy mnie?

POSTAĆ III: Dalej, nuże, zjednoczmy się bracia w swym hymnie:

CHÓR POSTACI:
Chcemy książki co życiu pomaga.
Życie samo tematy nasuwa.
Z gazet krwawa urasta dziś saga:
Mord w łazience. Trucizna i spluwa.
Ćwiercią pióra się pisze na niby.
Dla nas papier jest i imprimatur.
Choć przycinków nie szczędzą nam skryby,
Nie potrzeba nam szkół ani matur.
Z książki płynie odwaga,
Książka życiu pomaga.

Chcemy walczyć do końca.
Choć nam nakład dziś spadł.
Precz Simenon! Dałoj Christie Agathe!
Spójrz: Gordonka jes bliższa i młodsza!
Choć się akcja jak stary rwie szpagat,
Christianizmu mordercom nie potrza!
Już Kostecki, Wydrzyński i Damian
Baczą pilnie, by kwitnął handelek.
Dość Sherlocków! My damy wam w zamian
Ród królewien i rudych modelek.

Postacie tańcząc i śpiewając obrzucają detektywa stertą swych książek.

HOLMES: Przywalony książkami na próżno się bronię. Co oznacza ten rumor? Czy to ty Watsonie?
(Wpada doktor Watson z walizeczką lekarską).

WATSON: Genialny detektywie, śpieszę ci z odsieczą.

HOLMES: Za późno!

WATSON: Mam lekarstwa, one cię wyleczą.

HOLMES: Choć już przestaje bić me serce,
Obejdzie się bez modłów i mszy.
Ofiara wskazać chce mordercę.
To on — twór z Tworek najrodzimszy.
Widz i czytelnik dobrze zna go.
To on — kronikarz nagłych zgonów,
Co z Kutna robi w mig Chicago
Oraz z Pochroni — Al Caponów.
Chcąc wstrząsnąć literacką giełdą
Do pióra wziął się ex-konował,

Że anglosaskie przybrał pseudo,
Tłum snobów go nobilitował.
Na próżno oskarżenie wykrop.
I tak nim nie zatrzęsie trema.
Facet żywotny jest jak mikrob,
Choć w głowie Londyn — czyli mgłę ma.
Gdzie jest mój rywal, Lupin Arsen?
Czy taki zgon Sherlocka przeczuł?
Sorry. Ogarnia mnie już mar sen.
Dobranoc!

CHÓR POSTACI: Raczej Kobry wieczór!

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

A teraz SALVADOR DALI

To głośny malarz hiszpański bardziej znany ze swych ekstrawagancji osobistych, niż uznany jako artysta. Zaliczany do skrajnych nadrealistów, ale większość krytyków widzi w nim tylko wybujałego ekscentrystę. Cóż — ekscentryzm to tylko pewien rodzaj autoreklamy. Znamy wśród artystów wielu ekscentryków, co wcale nie kolidowało z ich talentem. Na przykład ekscentryzm Witkacego czy Gałczyńskiego nie wadził zupełnie wysokiej klasie ich twór-

czości. Gorzej, kiedy ten ekscentryzm z osoby artysty przenosi się w jego dzieło i staje się główną jego cechą. Mamy wtedy do czynienia z czymś podobnym, jak właśnie twórczość Salvadora Dali.

O co tu chodzi? O przerost treści nad formą. Dobrze — powie ktoś — ale przecież Matejko to też przerost treści nad formą. Owszem, to też Matejkę podobnie jak Salvadora Dali nie wszyscy uznają za artystę wysokiej próby. Jednak jest wielka miedzy nimi różnica — na korzyść artysty polskiego. Czyżby dlatego, że Matejko nie był ekscentrykiem? Nie dlatego. U Matejki jest przerost poważnej treści nad rzeczywiście nieaktualną już, że tak powiem, formą, a u Salvadora Dali przerost błahej treści nad pozornie jeszcze aktualną formą. Na przykład jeden z jego obrazów nosi tytuł „Narodziny płynnych pragnień". Przecież to treściowa bzdura.

W tym sensie Salvador Dali to pouczające przeciwstawienie Pabla Picassa, u którego środki artystyczne są odpowiednikami jego treści. U Picassa, jak u każdego autentycznego artysty, nie ma przerostu treści nad formą lub formy nad treścią. Jedna warunkuje drugą. Równoważna adekwatność treści i formy przesądza ostatecznie o wartości każdego zjawiska artystycznego. Czy w znanej u nas (choćby z reprodukcji w „Przekroju") „Płonącej żyrafie" Salvadora Dali można dostrzec tę równoważną adekwatność? W porównaniu z obrazami innych autentycznych surrealistów w rodzaju Joana Miro, Maxa Ernsta, a nawet Paula Klee i Marca Chagalla, wyłazi jak oliwa na wierzch całe hochsztaplerstwo jego malarstwa. To nie artysta, to imitator, u którego reakcyjna treść zaprzecza nowoczesnej formie.

I tu docieramy do sedna rzeczy. Czy można być nowoczesnym i jednocześnie reakcyjnym? W sztuce nie można. Ale w życiu można. W życiu nowoczesność nie zawsze idzie w parze z postępowością. Zwłaszcza ta nowoczesność która swoje miary uzależnia jedynie od techniki. W samochodach najnowszej marki jeżdżą często najbardziej zakuci wstecznicy. Najgłośniejszymi cmokierami nowoczesności w życiu praktycznym są nieraz najciemniejsze pod każdym innym względem kołtuny. Ich właśnie duchowym wyrazicielem jest Salvador Dali. Nim właśnie nowoczesna dulszczyzna ozdabia swoje mieszkania.

Gdzież więc szukać mierników prawdziwej nowoczesności? To znaczy tej nowoczesności z którą nierozerwalnie kojarzy się pojęcie postępu? Czy jedynie w zewnętrznych formach czyli w technice życia? Nie. W jego treści. Czy w każdej treści? Nie. W postępowej.

Jaki z tego wniosek? Jeżeli chodzi o dziedzinę sztuki to nie wystarcza tutaj jedynie nowoczesność środków technicznych czyli formalnych. Prawdziwie nowoczesne środki techniczne w sztuce wynikają z postępowych treści których są wyrazem. Ale czy postępowa treść może się wyrażać w niepostępowych czyli nienowoczesnych formach wyrazu? Nie może. Może się tylko kompromitować. Nieodpowiedniość (niea dekwatność) formy w stosunku do treści tworzy karykaturę czyli wywołuje śmiech. Śmieszne są wszelkie formalne sztuczki choćby z pozoru najbardziej nowoczesne które nie mają pokrycia w uzasadniających je treściach. To tak jakby ktoś na plażę wybrał się w cylindrze i fraku, a na przyjęcie u biskupa w czepcu gumowym i kąpielówkach.

Przed kilku dniami czytałem artykuł pewnego krytyka, który przez długie szpalty rozważał mozolnie,

czy twórczość Tomasza Manna jest czy też nie jest nowoczesna? Ale na czym ta nowoczesność ma polegać, to nie powiedział. Prawdopodobnie sam nie wiedział, bo pióro jak Piekarski na męskach, że Mann to nie Proust, ani Joyce, a jednak jest w nim coś z Faulknera, nawet z Kafki, choć nie ma nic z antypowieści Butora czy Sarraute. I w końcu nie dowiódł niczego. Gdyż niczego nie można dowieść poprzez samą tylko formę. Trzeba sięgnąć do treści. Bo ostatecznie treść jest miernikiem nowoczesności formy. Postępowa treść implikuje nowoczesność jej wyrazu czyli formy artystycznej.

Ale co to znaczy „postępowa treść"? I czy wobec tego Salvador Dali jest w ogóle nowoczesny? O tym w następnym „sednie rzeczy".

HALINA BATOROWICZ

Gagarin... lalki i dzieci

Jechałam kiedyś podmiejskim pociągiem z Łodzi do Koluszek. Było popołudnie, wagony przepełnione. Ludzie wracali z pracy; plotkowali o znajomych, szukali lekarstw na różne choroby, grali w „oko" i w „durnia". A dwie babcie prześcigały się w przechwałkach: że Andrzejek radzi sobie doskonale ze starszymi chłopakami. („Pytam go: chcesz w pysk"? On mówi: chcę. To ja mu dałem. I czego teraz ryczy, babuniu?"), że Katarzyna rozpruwa lalkom brzuchy, bo chce, żeby urodziły się małe laleczki, że Andrzejek podpalił „P-70", bo słyszał, że samochód jest łatwopalny, że Katarzyna... itd.

Siedział koło mnie stary kolejarz, słuchał, słuchał, głową kiwał. A jak wysiadał, to powiedział:

— Dzieci zawsze takie mądre, najmądrzejsze? To skąd u dorosłych tyle durniów, co?...

On tego wcale nie wymyślił. Słyszałam już tu i ówdzie owo, niby dowcipne, pytanie. Zawsze stanowiło reakcję na czyjeś przechwałki o „genialnych dzieciach". Więc kiedy przed kilku dniami zatrzymał mnie nagle dziecięcy gwar przedszkola, pomyślałam sobie: jakie one są naprawdę?

Patrzy człowiek na swoje dzieci codziennie, przebywa z nimi, bawi się, albo... łoi im skórę, gdy przeskrobią. I w gruncie rzeczy... nie zna dzieci. Zawsze wymykają się pełnemu poznaniu jakoś, zasłaniają maską, o której same nie wiedzą.

Z dorosłymi łatwiej. Chcesz ich poznać — rozpisujesz ankietę, zadajesz kilka pytań; Co pan (pani) o tym, o tamtym, o owym myśli? Prosimy nadesłać odpowiedzi... I już Gallup gotowy, i już zbadana opinia — przynajmniej w 50 proc. do przyjęcia. A starszym dzieciom w szkole można zadać wypracowanie. Zwierzą się dokładnie na zadany temat. Bo pisać zawsze wygodniej niż mówić... Ale przechodząc koło tego przedszkola zapragnęłam poznać opinie przedszkolaków. Postawić im kilka pytań? Nie napiszą — gdyż nie potrafią jeszcze pisać. A młodsze, te trzy, czteroletnie to nawet i gadać nie będą chciały. Doszłam więc do przekonania, że trzeba zbadać grupę pięcio- sześcio-

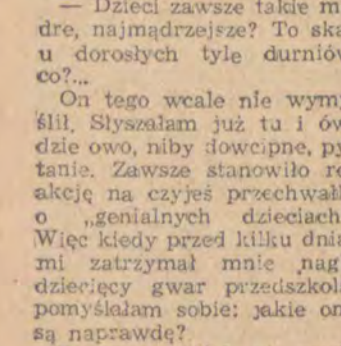

latków — „starszaków"...

Pani kierowniczka była bardzo uprzejma, wychowawczyni grupy „dostarczała" dzieci pojedyńczo, na ławeczkę w kącie ogrodu. Mówiły do mnie najczęściej cicho, cichutko, w wielkiej tajemnicy, żeby Ola, Zbyszek nie usłyszeli, bo pani powiedziała, że nie można nic zdradzić".

Wszystkim dzieciom, które przyszły na ławeczkę, zadałam 10 takich samych, prostych pytań:

1. *Czy tatuś pije wódkę? Co robi jak jest pijany?*
2. *Czy rodzice kłócą się?*
3. *Czy biją cię w domu?*
4. *Czy często dostajesz zabawki?*
5. *Co chciałbyś, żeby rodzice ci kupili?*
6. *Czy tatuś często bawi się z tobą, chodzi na spacer?*
7. *Gdzie pojedziesz na lato?*
8. *Kto to jest Gagarin?*
9. *Co to znaczy: zły człowiek i dobry człowiek?*
10. *Czy wiesz, skąd się wziąłeś na świecie?*

Odpowiedzi są autentyczne. Więc proszę mi wybaczyć, że czasem będą niestylistyczne, niegramatyczne, tak... jak to mówią dzieci..

MIRKA, 6 i pół roku: tatuś wyjeżdża na tydzień w delegację.

1. Jak są goście, jest wesoły.
2. Nie.
3. Nieraz, jak zbroję...
4. Nie, bo teraz wpłacamy na mieszkanie, bo wyjeżdżamy do Warszawy.
5. Lalkę!!!
6. Tatuś się nie bawi, bo jak przyjeżdża z Warszawy to śpi.
7. Do Krynicy Morskiej, tak samo jak w zeszłym roku.
8. Nie wiem.
9. Wiem... To znaczy dobry... Nie wiem...
10. Nie, nie wiem. Dlaczego?...

EWA, 6 lat, tata choruje a w pracy ma biuro, mama w domu.

1. Tak, ale nie jest pijany.
2. Raz się pokłócili, a teraz się nie kłócą.
3. Mama, raz a tata nigdy. Bo mnie tłumaczą...
4. Od taty nic! A mama to ciągle, najwięcej. To dostałam lalkę. A tata to ani Tomkowi ani mnie.
5. Laleczkę ze smoczkiem.
6. Nigdy. Czyta w łóżku.
7. Tata zabierze mnie chyba nad morze.
8. Nie wiem. Ale Małgosia to wie.
9. Wszyscy są dobrzy.
10. Nie

LESZEK, 6 i pół: mama jest plastykiem a tata też pracuje w laboratorium.

1. Nie może pić, bo jak by się upił to prawie umiera.
2. Nie. Śmieszne pytania.
3. Czasem.
4. Kupują. Ja sam też potrafię. Składam do skarbonki.
5. Na wystawie w sklepie widziałem rakietę, jest tam wyżej i niżej i się naciska i rakieta wystrzela...
6. Tatuś ciągle pracuje i mama też. A czasem się bawimy w maszynę co zwala. To z tapczanu.
7. Do Brwinowa. No nie wie pani? Koło Warszawy.
8. Radziecki pilot, kosmonauta.
9. Człowiek dobry: dobry dla wszystkich, wszystko robi, a zły to dla wszystkich, nikomu nic nie daje.
10. Jak byłem taki malutki to skąd mam pamiętać?

JOLA, 6 lat, mama pracuje w pracy na maszynie. Tatusia znam, ale nie mówię mu dzień dobry...

RENIA, 7 lat, mama w cerowni, tatuś przy maszynach.

1. Nie.
2. Nie. Tylko czasem o pieniądze, że mama nie umie wydawać...
3. Nie.
4. Tylko Mikołaj mi przynosi.
5. Lalkę śpiącą!
6. W konia.
7. Na wieś, do cioci.
8. Nie wiem.
9. Człowiek dobry wszystko daje i dla wszystkich dobry, a zły nikomu nie da, nie pożyczy.
10. Dzieci wychodzą z mamy serduszka. Tak?

TOMEK, 6 lat, mama leczy dzieci, tata inżynier.

1. Nie.
2. Nie.
3. Nie.
4. Tak często, że nawet nie pamiętam.
5. Już nic nie chcę, mam tak dość tych zabawek.
6. Piłka w mieszkaniu i w pociąg.
7. Nad morze.
8. Nie wiem.
9. Ja nie wiem jeszcze.
10. Nie wiem.

To jest zaledwie część odpowiedzi dzieci z jednego przedszkola. Znajdujemy w nich wiele interesującego materiału. Ale są też i akcenty wprost wstrząsające. „Tatuś nie może pić, bo jak by się upił, to prawie umiera...";

Mówią mamy w tramwajach, chwalą się w pociągach, w parku na ławce, w kolejce po mięso. „Dzieci, nasze kochane dzieci, jakie one już dorosłe". (Czasem mowa o pięciolatku, np.). A dzieci potrafią często „sypnąć" kwieciście: „absolutnie, bezwzględnie, oczywiście, daj mi spokój, nie zawracaj głowy, fajno — fajowo" etc., a nie mogą ani rusz znaleźć odpowiedzi na najprostsze pytanie. Mówię najprostsze, bo składające się ze słów doskonale dziecku znanych, np. dobry, zły.

Często jestem w księgarni, słucham rozmów dorosłych przy stoisku z książkami dla dzieci. Niektórzy jakby usprawiedliwiali się u ekspedientki: „Książka to

zawsze książka, dłużej poleży, zepsuć trudno, a popatrzeć można". A więc nie dlatego, żeby dziecku czytać — nie raz, nie dwa — ale żeby prezent był „trwalszy".

I znów proszę zauważyć: żadne z pytanych dzieci, nie mówiło o książce — prezencie. Upragnione były lalki, wózki, samochody, po prostu z a b a w k i!

To co niektórzy nazywają „mądrością dzieci naszych czasów" jest najczęściej zwykłym dziecięcym instynktem, bądź też wynikiem dokładnych obserwacji. (Bo dzieci potrafią patrzeć. O jak potrafią!).

„Dorosłość" dzieci, rozważana z szacunkiem dla psychologii rozwojowej, jest — po prostu — nie do pomyślenia. Jeśli jednak istnieje i niepokoi, to na skutek tego, że dorośli infekują dzieciom swój świat. Pijaństwa, chamskie awantury, język, od którego więdną uszy, ekspertują właśnie rodzice, czy mówiąc szerzej — dorośli, dla dzieci.

Dzieci w gruncie rzeczy chcą zabawek, dzieci chcą się bawić z rodzicami, z ojcem, który, co tu dużo mówić, zawsze jest wytęskniony. A ojcowie? To bardzo charakterystyczne, że w wielu odpowiedziach powtarza się słowo: łóżko, tapczan. Tata jest zmęczony, tata czyta książkę a potem zasypia na tapczanie, tata jak przychodzi do domu to śpi, jak wraca z podróży śpi, śpi w niedzielę przed południem i w sobotę po południu. I jak wypije wódkę i jak z mamą się pokłóci. A dla dzieci ma tak mało czasu, jeszcze mniej niż zapracowana matka. Więc dzieci pobierają edukację gdzie się da, słuchają wszystkiego, o czym mówi się bez skrępowania, przyswajają sobie pewne słowa, całe zdania, dorosłe, niekiedy wulgarne. I „rzucą" potem jedno, dwa, i już są „mądrymi dziećmi naszych czasów. Tak moja pani...".

Nie znamy dzieci, wystawiamy im cenzurki „na oko" i na wyrost... Nasze rozmowy to zwykle odpowiedź na ich, maluchów, pytania. My, dorośli, rzadko pytamy, nie mamy czasu, do głowy nam to nie przychodzi. A takie pytania (nasze) dają wiedzę o dziecku i zaskakują rodzonych rodziców.

Sześcioletnie dziewczynka i siedmioletni chłopiec mogą przez pięć minut mówić o telewizji, o samochodach (prawdziwych), o Gagarinie. Ale marzyć będą o lalce, o samochodzie do piasku. Nie pytane mogą nie mówić, ale będą marzyć... Bo jakie one są naprawdę: najmądrzejsze?, przerośnięte?, z „naszych czasów"?. A może po prostu i tylko... DZIECI?...

MAREK WAWRZKIEWICZ

„KRAKOWIACY i GÓRALE"

Częstotliwość z jaką wystawia się w Łodzi ten „Cud mnie many" zdaje się świadczyć o rzeczywistym, społecznym zapotrzebowaniu. Co przyciąga widza? Pewnie dużą rolę gra tutaj tradycja, przywiązanie do tej narodowej opery. Widowisko imponująco barwne, musi robić wrażenie swoją wystawą, tempem, różnorodnością elementów z jakich się składa — a więc i taniec, i muzyka, i piosenka, i czysta aktorska gra sceniczna. Jest poza tym nietrudnym chlebem do spożycia — wszyskie wątki kończą się w łatwy sposób — i to oczywiście nie stanowi żadnej słabości „Krakowiaków i Górali". Sto pięćdziesięt prawie lat licząca sobie „śpiewogra" Bogusławskiego i Stefaniego ma dla nas wartość niemal dokumentu historycznego (choćby dlatego, że teatr zapoznaje nas z historią premierowego przedstawienia), a także może wzruszać, tak jak wzrusza obraz-prymityw, którego autorem jest malarz samouk. I skoro tak, sztuka jako dzieło skończone, zamknięte nie może podlegać krytycznej ocenie współczesnych. Można natomiast i trzeba mówić o tym, jak jest przez współczesnych przyjmowana i o formie, w jakiej ją współczesny teatr przedstawia.

Schillerowska inscenizacja „Krakowiaków i Górali", którą z zachwytem przyjmowała nie tylko łódzka publiczność i krytyka na deskach Teatru Wojska Polskiego w roku 1946 doczekała się, co jest rzeczą niewątpliwie słuszną, swoich specjalnych, obszernych opracowań. Było to bowiem dzieło prawdziwie monumentalne. Takim pamiętają je widzowie, takim pamiętają je również ludzie teatru. Schillerowska inscenizacja musiała wywrzeć potężny wpływ na tych ostatnich, skoro widzimy „Krakowiaków i Górali" już po raz trzeci w niezmienionej postaci. Ma to swoje dobre strony, ale ma, oczywiście, i złe. Powtarzanie w określonej inscenizacji jakiegokolwiek dzieła scenicznego jest już niczym więcej, jak powielaniem, a więc czynnością dość mechaniczną. Rola reżysera bowiem ogranicza się tu tylko do obsadzenia poszczególnych ról i do utrzymania spektalu w kanonach, które już kto inny nakreślił. Drugą słabością niemniej chyba poważną jest fakt, że schillerowskie „wstawki", piosenki mówiące o wolności, o układzie sił politycznych nawet, mocno już zwietrzały i straciły na aktualności. Muszą zatem budzić o wiele mniejszy oddźwięk na widowni, niż w roku 1946, tuż po wyzwoleniu. A nie znalazł się nikt, kto by je uaktualnił i zbliżył do treści, które nas obecnie nurtują. I tylko z tych powodów mają się te przedstawienia do siebie tak jak oryginał i obraz biegle, ale jednak skopiowany.

Znać w tym przedstawieniu wielką pieczołowitość przygotowawczej pracy. Przy odrobinie dobrych chęci, można też dostrzec to o czym mówią dyrektorzy zespołów Teatru im. Jaracza i Opery Łódzkiej, które wspólnie tę premierę przygotowały: zapał i entuzjazm, ożywiające te zespoły. Czy jest to jednak wystarczające, aby można było mówić o pełnym, artystycznym sukcesie?

„Krakowiacy i Górale" stawiają przed aktorami wymagania dużej wszechstronności. Chociaż z ról nie trzeba wydobywać głębokich psychologicznych czy intelektualnych podtekstów, wymagają jednak wykazania dużej techniki aktorskiej, nie tylko z zakresie gry scenicznej, ale i śpiewu, i tańca. I jeśli ze śpiewem aktorzy radzą sobie zazwyczaj dobrze, to przy tańcu sytuacja wygląda zupełnie tragicznie, a poziom niektórych solowych występów choreograficznych aż nadto przypomina poziom występów dzieci szkolnych z bardzo głębokiej prowincji. Trudno się nie dziwić tak wytrawnemu reżyserowi jakim jest Feliks Żukowski, że nie zrezygnował z tych bardzo amatorskich popisów.

Wśród wykonawców wymienilbym przede wszystkim Józefa Zbiróga, w roli Bardosa, który umiał, jak się zdaje, najlepiej znaleźć pewien minimalny dystans między swoją aktorską osobowością, a postacią, w jaką miał się wcielić. Natomiast trudno to powiedzieć o Jerzym Walczaku, grającym rolę Stacha. Walczak — i ten zarzut może się odnosić nie tylko do tej roli ale w ogóle do aktorstwa tego tyle i tak długo zapowiadającego aktora — jest zbyt dosłowny, a w swym staraniu o dosłowność aż przesadny. Po stronie dodatniej umieściłbym jeszcze Jadwigę Stocką, Danutę Pruską i Zygmunta Nowickiego, zaś za raczej negatywnego bohatera wieczoru uważałbym Marka Sobczyka.

Pewnie za kilka lat któryś z teatrów łódzkich pokusi się znów o wystawienie „Krakowiaków i Górali". Miejmy nadzieję, że tym razem już w nowej inscenizacji, na pewno mniej doskonałej, ale za to dającej wyraz artystycznym poszukiwaniom.

P. T. im. Jaracza i Opera Łódzka. Bogusławski i Stefani „Krakowiacy i Górale" — inscenizacja Leona Schillera. Reż. F. Żukowski, scenografia W. Daszewski.

Od lewej: Marian Wojtczak (Bartłomiej), Józef Zbiróg (Bardos), Barbara Jaklicz (Dorota), Jerzy Walczak (Stach).

Dalszy ciąg ze str. 1

wanego ogrodzenia z tłuczonym szkłem na szczycie biegła droga wysypana szlaką. Kierowca skręcał kilka razy w labiryncie murów. Wkońcu zatrzymał auto przed niewielkimi drzwiami.

— To tu dwunasty numer.

Byłem niemile zaskoczony, gdy się zorientowałem, że drzwi, które według wszelkiego prawdopodobieństwa prowadziły do biura Towarzystwa Kraftstudta, stanowiły jednocześnie wejście do „przybytku mędrców". Czy Kraftstudt aby nie zaangażował wariatów do wykonywania wszelkiego rodzaju prac matematycznych" — pomyślałem sobie i uśmiechnąłem się.

Podszedłem do drzwi i nacisnąłem guzik dzwonka. Czekałem długo, chyba z pięć minut. Wreszcie drzwi się otworzyły. Ukazał się w nich młody człowiek o bladej twarzy i zjeżonych gęstych włosach ,mrużąc oczy porażone światłem dziennym.

— Słucham pana? — zwrócił się do mnie.

— Czy tu się mieści Towarzystwo Matematyczne Kraftstudta? — zapytałem.

— Tak.

— Panowie dawali ogłoszenia w gazecie...

— Tak.

— Przyniosłem zamówienie.

— Proszę niech pan pozwoli.

Zwróciłem się do kierowcy, powiedziałem, żeby zaczekał i pochylając się wszedłem w drzwi. Gdy zamknęły się za mną, znalazłem się w zupełnych ciemnościach.

— Proszę, niech pan pozwoli za mną. Ostrożnie, tu schodki. Teraz na lewo. Znów schodki. Teraz pójdziemy w górę...

Mówiąc to, mój przewodnik prowadził mnie za rękę przez ciemne, kręte korytarze, schodami to w dół, to w górę...

Wreszcie nad głową zajaśniało przyćmione żółtawe światło i wspiąwszy się po stromych kamiennych schodach znalazłem się w niewielkim hallu z oszklonym przepierzeniem.

Młody człowiek szybko przeszedł za nie, otworzył szerokie okienko i zwrócił się do mnie

— Słucham pana.

Miałem uczucie, jakbym trafił nie tu, gdzie trzeba. Ten półmrok, ten podziemny labirynt i wreszcie ten głuchy pokój, bez okien, z jedną jedyną słabiutką żarówką u stropu, to wszystko w żaden sposób nie kojarzyło mi się z tym, jak powinien wyglądać nowoczesny ośrodek obliczeniowy.

Stałem, oglądając się z niedowierzaniem wokół.

— Słucham pana — powtórzył młody człowiek, wychylając się przez okienko.

— Ach, tak! A więc to tu mieści się ośrodek obliczeniowy Towarzystwa Kraftstudta?

— Tak, tak — przerwał mi z nutą zniecierpliwienia w głosie. — Mówiłem już panu, że tutaj. O co chodzi w pańskim zamówieniu?

Wyciągnąłem z kieszeni kartkę z zapisem równań i podałem mu przez okienko.

— To jest przybliżenie liniowe tych oto równań, podane w pochodnych cząstkowych — zacząłem wyjaśniać niepewnym głosem.—Chciałbym, żeby panowie rozwiązali mi je cyfrowo przynajmniej, no, powiedzmy, bezpośrednio na granicy dwóch ośrodków... Rozumie pan, to jest równanie dyspersji i tutaj szybkość rozchodzenia się fal radiowych jest zmienna w każdym punkcie.

Młody człowiek zmiął w dłoni moją kartkę i zwrócił się do mnie nieoczekiwanie:

— Wszystko jasne. Na kiedy potrzebne jest panu rozwiązanie?

— Jak to na kiedy? — zdziwiłem się. — To panowie powinni mi powiedzieć, na kiedy jesteście w stanie to rozwiązać.

— Jutro, odpowiada panu? — zapytał, zwróciwszy na mnie głębokie czarne oczy.

— Jutro??

— Tak, jutro. Powiedzmy, na godzinę dwunastą.

— Boże, cóż za maszynę panowie mają?! Tak szybko pracuje!

— Więc tak, jutro o dwunaste otrzyma pan rozwiązanie. Cena — czterysta marek. Opłata gotówką.

Bez słowa podałem mu pieniądze wraz z wizytówką, na której widniało moje nazwisko oraz adres.

Prowadząc mnie przez podziemny labirynt do wyjścia, młody człowiek zapytał:

— Ach, więc to pan jest profesorem Rauchem?

— Tak, owszem. A dlaczego pan pyta?

— Tak tylko. Kiedy organizowaliśmy ośrodek obliczeniowy, przypuszczaliśmy, że wcześniej czy później zjawi się pan u nas.

— Dlaczego panowie na to liczyli? — zapytałem.

— A od kogoż jeszcze można spodziewać się zleceń w tej dziurze?

Odpowiedź wydała mi się całkiem przekonująca.

Nie zdążyłem nawet pożegnać się z młodym człowiekiem, gdy drzwi za mną zatrzasnęły się.

W drodze powrotnej przez cały czas myślałem o tym dziwnym ośrodku obliczeniowym, mieszczącym się razem z „przybytkiem mędrców". Gdzie i kiedy spotykałem się z nazwiskiem Kraftstudta?

Nazajutrz z niecierpliwością oczekiwałem porannej poczty.

Gdy o godzinie pół do dwunastej rozległ się przy drzwiach dzwonek, zerwałem się z miejsca i ruszyłem, by otworzyć listonoszowi. Ku swemu zdumieniu ujrzałem przed sobą chudziutką bladą dziewczynkę, trzymającą w rękach olbrzymi granatowy pakiet.

— Czy pan profesor Rauch? — zapytała.

— Tak.

— Przyniosłam paczkę od Kraftstudta. Proszę o pokwitowanie.

Chudziutkie jej rączki grzebały chwilę w kieszeniach palta, poczem dziewczynka podała mi książkę.

Na pierwszej kartce książki, którą mi wręczyła, widniało jedno jedyne nazwisko — moje. Pokwitowałem i chciałem jej dać parę fenigów.

— O, co pan — zarumieniła się i bąknąwszy cichutko „do widzenia", ulotniła się.

Z pakietem w ręku wróciem do gabinetu.

Patrząc na fotokopię gęsto zapisanego rękopisu z początku nie mogłem nic zrozumieć. Po elektronowej matematycznej maszynie cyfrowej spodziewałem się czegoś wręcz innego: długich kolumienek cyfr, w krótych po jednej stronie powinny widnieć wartości argumentów, po drugiej zaś — wartości rozwiązania równań.

To, co miałem przed sobą, w niczym tego nie przypominało. Było to ścisłe i kompletne rozwiązanie moich równań!

Przebiegałem oczyma kartkę po kartce, coraz bardziej zagłębiając się w ścisłe i zdumiewające swą doskonałością, jasnością i pomysłowością obliczenia. Człowiek, który rozwiązywał równania, dysponował imponującą wiedzą matematyczną, której mogliby mu pozazdrościć najtężsi matematycy. Rozwiązania dokonano w oparciu o prawie wszystkie dziedziny matematyki: teorię równań różniczkowych i całkowych, liniowych i nieliniowych, teorię funkcji zmiennej zespolonej, teorię grup, teorię mnogości, a nawet takie, zdawałoby się, nie mające bliższego związku z tym konkretnym problemem, jak topologia, teoria liczb oraz logika matematyczna.

Omal że nie krzyknąłem z podziwu, gdy w wyniku uogólnienia wielkiej ilości twierdzeń, rozwiązań szczególnych wzorów i równań, pojawiło się wreszcie i samo rozwiązanie, którego zapis matematyczny zajmował całe trzy wiersze.

Najbardziej jednak fantastyczne było to, że nieznany matematyk postarał się również nadać owej tasiemcowej formule zapis przejrzysty. Znalazł on przybliżoną, lecz bardzo przy tym ścisłą, krótką i prostą formę zapisu matematycznego, składającego się z samych tylko elementarnych wyrażeń algebraicznych i trygonometrycznych.

Na końcu, na niewielkiej wklejce, rozwiązanie równań zostało przedstawione w formie graficznej.

Niczego więcej nie można było sobie życzyć. Równanie, które jak sądziłem nie da się przedstawić w postaci skończonej, zostało rozwiązane.

Ochłonąwszy z pierwszego zdziwienia i zachwytu, zabrałem się ponownie do dokładniejszego studiowania fotokopii. Tym razem zauważyłem, że człowiek, który rozwiązywał moje zadanie, pisał gorączkowo, drobniutkim pismem, jak by chcąc zaoszczędzić każdy milimetr papieru i każdą sekundę czasu. Całość stanowiła dwadzieścia osiem stron i wyobraziłem sobie, jak tytaniczna była praca owego matematyka. Proszę spróbować napisać własnoręcznie w ciągu jednej doby list do kogoś ze znajomych o objętości dwudziestu ośmiu stron, albo napisać dwadzieścia osiem stron własnej biografii, lub wreszcie spróbować z jakiejkolwiek bądź książki, w sposób zupełnie mechaniczny, bez zwracania uwagi na sens słów, po prostu i zwyczajnie przepisać dwadzieścia osiem stron, a przekonacie się, że to piekielna praca.

A nie był to przecież list do znajomego, ani też przepisany fragment starego romansu. Było to rozwiązanie niezwykle skomplikowanego zagadnienia matematycznego. I pomyśleć — dokonano tego w przeciągu jednej doby! Przez kilka godzin bez przerwy wlepiałem oczy w zapisane kartki i z każdą godziną coraz bardziej rosło moje zdumienie.

Gdzie Kraftstudt wynalazł takiego matematyka? Na jakich warunkach pracuje u niego? Co to za jeden? Chyba jakiś zapoznany geniusz? A może to jeden z tych przypadków cudu natury ludzkiej, które spotyka się czasem na granicy normalności i obłąkania. Może to jeden z takich unikatów, który udało się Kraftstudtowi wynaleźć w „przybytku mędrców"? Historia zna wypadki, gdy genialni matematycy trafiali w końcu do szpitali psychiatrycznych. Może i ten matematyk, który tak wspaniale rozwiązał moje zadanie, należy również do tej kategorii ludzi?

Takie oto pytania prześladowały mnie przez cały dzień.

Mimo wszystko fakt pozostawał faktem. Zadanie rozwiązała nie maszyna, lecz człowiek — jakiś niebywały geniusz matematyki, o którym świat nic nie wie.

Następnego dnia, ochłonąwszy nieco z wrażenia, jeszcze raz przestudiowałem rozwiązanie, tym razem rozkoszując się nim, jak potrafią rozkoszować się ludzie słuchający dobrej muzyki. Było ono tak niezrównane, tak ścisłe, tak przejrzyste, że postanowiłem... powtórzyć eksperyment. Postanowiłem zlecić Towarzystwu Kraftstudta rozwiązanie jeszcze jednego zadania.

Na szczęście nie zbywało mi na nich, wybrałem jedno równanie, którego rozwiązanie uważałem zawsze za absolutnie beznadziejne i to nie tylko w postaci skończonej; uważałem za niemożliwe nawet sprowadzenie go do postaci potrzebnej, by podać je do rozwiązania maszynie matematycznej.

Równanie to także dotyczyło teorii rozchodzenia się fal radiowych, ale tym razem zagadnienie było wyjątkowo skomplikowane i specyficzne, ze źródłami ruchomymi w ośrodku, którego właściwości podlegają zmianom w czasie i w przestrzeni. Było to jedno z owych równań, które teoretycy fizyki wypisują po to jedynie, by się nimi podelektować, a potem puścić w niepamięć, bo i tak są zbyt skomplikowane na to, żeby miały się przydać komuś w praktyce...

Gdy rozwarły się drzwi w ścianie z czerwonej cegły, przywitał mnie znów ten sam młody człowiek. Gdy mnie ujrzał, uśmiechnął się tajemniczo.

— Mam jeszcze jedno zadanie... Zacząłem.

Kiwnął głową i tak jak za pierwszym razem poprowadził mnie przez ciemne korytarze do swej mrocznej poczekalni bez okien.

Znałem już procedurę, podszedłem do okienka i podałem mu kartkę z równaniem.

— To u panów nie maszyny rozwiązują te rzeczy?

— Jak pan widzi — odrzekł, nie odrywając oczu od kartki.

— Człowiek, który rozwiązał moje pierwsze zadanie, to wielki talent matematyczny — rzekłem.

Młody człowiek nie odpowiedział nic, zagłębiony w czytaniu mego rękopisu.

— Jednego mają go panowie, czy też kilku? — zapytałem.

— A czy to ma jakiś związek z tym, czego pan potrzebuje? Firma daje gwarancję...

Nie zdążył dokończyć zdania. Głęboką ciszę podziemi rozdarło przeraźliwe, nieludzkie wycie. Wzdrygnąłem się i zacząłem nadsłuchiwać. Krzyk dochodził skądś zza ściany, znajdującej się za szklaną przegrodą. Ktoś krzyczał, a właściwie wydzierał się na całe gardło, jakby go tam poddawano nieludzkim torturom. Młody człowiek zmiął kartki z moim zadaniem, umknął spojrzeniem w bok, potem spojrzał na mnie i wybiegając zza przegródki złapał mnie za rękę i pociągnął ku wyjściu.

— Co to było? — zapytałem go, ledwo łapiąc oddech, już przy samych drzwiach na ulicę.

Zamiast odpowiedzi, wypalił:

— Rozwiązanie otrzyma pan pojutrze o dwunastej. Pieniądze proszę przekazać gońcowi.

Po tych słowach zniknął — zostałem sam przed taksówką.

Czyż muszę mówić, że po tym wypadku straciłem do reszty spokój. Po pierwsze nie mogłem ani przez chwilę zapomnieć przerażającego krzyku, który, zdawało się, targnął grubymi murami ośrodka obliczeniowego Towarzystwa Kraftstudta. Po wtóre wciąż jeszcze znajdowałem się pod wrażeniem tego, że jeden człowiek w przeciągu jednej doby rozwiązał tak trudne zadanie matematyczne. A po trzecie, jak w gorączce oczekiwałem na rozwiązanie mojego drugiego zadania. Jeśli i ono zostanie rozwiązane, to wówczas...

W dwa dni później rękoma drżącymi z podniecenia odbierałem pakiet, przyniesiony przez gońca Towarzystwa Kraftstudta. Z objętości pakietu mogłem wnocić, że znajduje się w nim rozwiązanie i tego, drugiego, potwornie skomplikowanego zadania matematycznego. Z pewnym niepokojem spoglądałem na chudziutką istotkę, stojącą przede mną. Nagle olśniła mnie myśl.

D. c. n.

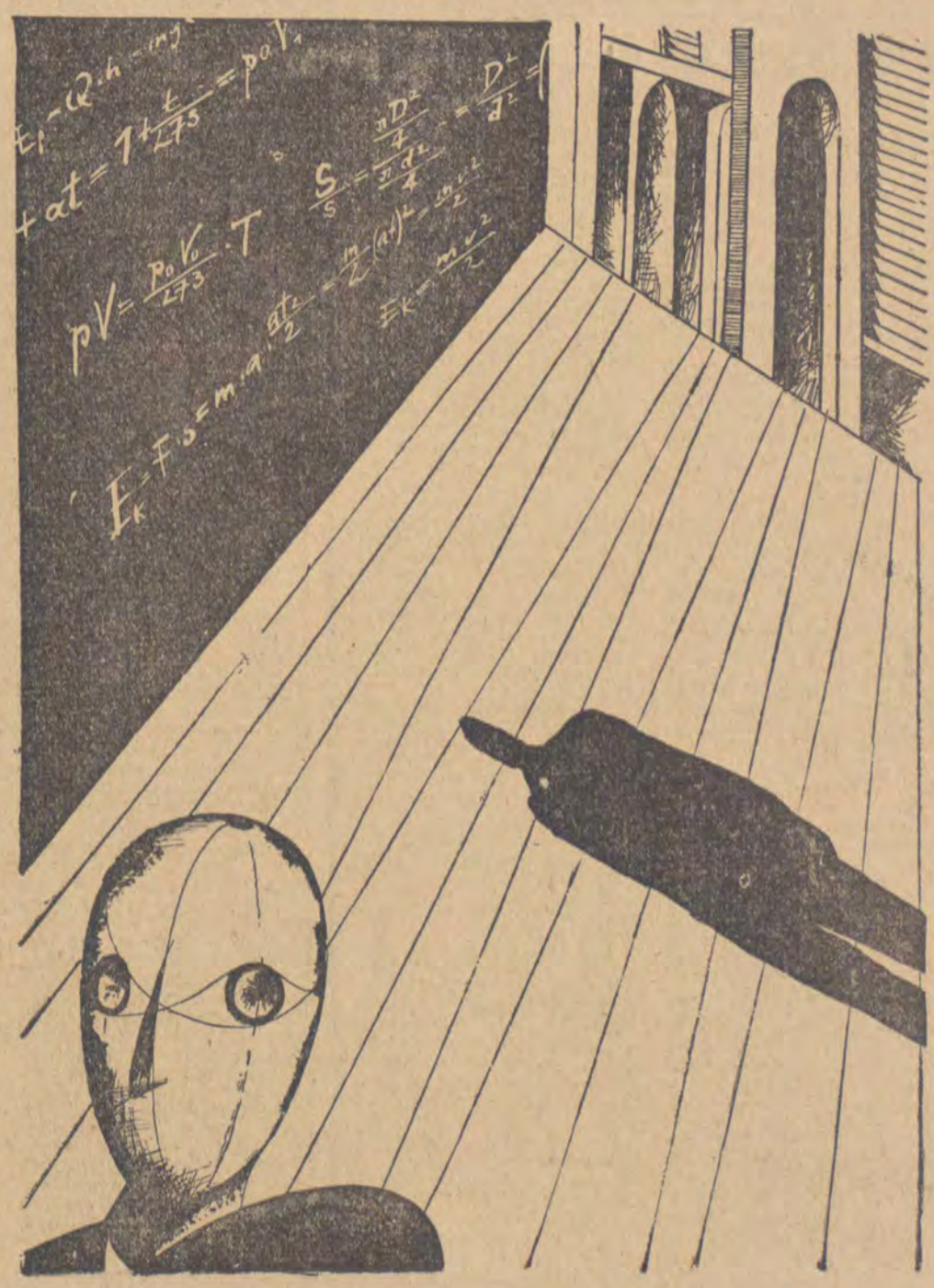

WIEDEŃ

NOCNE PRZYJĘCIE

Co kazało ludziom siedzieć przy telewizorach długo w noc, aby oglądać przebieg przyjęcia wydanego na zamku w Schönbrunn na cześć Nikity Chruszczowa i Johna Kennedy? Czyżby tylko chęć obejrzenia na własne oczy dwóch wybitnych mężów stanu, reprezentujących dwa największe współczesne mocarstwa — chyba nie, choć przecież kroniki filmowe pokażą to wszystko dokładniej i bądź co bądź na dużym ekranie. A jednak — jednak przy telewizorach siedziała bez przesady cała Europa. Oto kolejny przykład magii telewizji potrafiącej chwytać współczesność na gorąco, dosłownie bez chwili zwłoki. To, co oglądaliśmy, byłoby przecież w wymiarze kina przydługie i po prostu nudne; nikt mi nie wmówi, że oficjalny ceremoniał reprezentacyjnego przyjęcia interesowałby widza siedzącego w zaciemnionej sali.

Tu jednak, gdy mieliśmy gwarancję, że właśnie w tej chwili Nikita Chruszczow oddala się jakiemuś przedstawicielowi dyplomatycznego korpusu, że właśnie w tej chwili Nina Chruszczow mówi coś do Kennedy'ego (komentator dodaje: bez pomocy tłumacza), że właśnie w tej chwili austriacki dyrygent prowadzący koncert składa pocałunek na dłani małżonki prezydenta USA — byliśmy zafascynowani tym wszystkim, co migotało na małym ekranie. Właściwie to nawet nie migotało — retransmisja stała na wysokim poziomie technicznym, przeprowadzona była precyzyjnie i bez pudła, tyle że tłumaczony a vista komentarz wydać się mógł zbyt ubogi i zdawkowy.

Obserwowaliśmy więc przyjazd, przywitanie, prezentację gości, uroczysty koncert. Na ten ostatni złożyły się występy orkiestry filharmonii wiedeńskiej i baletu opery. W programie — Mozart, Strauss, uwertura do „Wesela Figara", arie, duety, piosenka „Wiedeń, Wiedeń", przy akompaniamencie typowo, jeżeli chodzi o skład, cygańsko-knajpianej kapeli. Wszystko, pomyślane, wszystko konsekwentnie zakomponowane — kompozytorzy z Wiedniem związani i utwory o Wiedniu mówiące.

Na zakończenie — „Nad pięknym modrym Dunajem" w wykonaniu baletu. Stary zamek raz jeszcze ujrzał tancerki i tancerzy prezentujących piękne, precyzyjne układy nie na scenie, a na tafli podłogi w wąskim przejściu między rzędami krzeseł... Mimo wszystko, mimo dość dalekiego odsunięcia kamer, było to piękne widowisko.

na antenie

Rzadko, ale zasłużenie znajdują państwo na tym miejscu słowa pochwały dla telewizji. A więc chwaliliśmy za reportaż z powitania Gagarina, chwalimy za pierwszy odcinek reportażu z powitania premiera Chruszczowa w Wiedniu. Reportaż był króciutki, ale przecież spełnił swe zadanie — na bieżąco przekazał to, co w relacjach pisanych moglibyśmy znaleźć w prasie dopiero nazajutrz, a w relacjach fotograficznych i filmowych za parę dni. Telewizja była w tym wypadku górą! I tak być powinno.

Obraz otrzymywaliśmy przez telewizję czeską i Katowice, natomiast komentarz słowny nadawany był ze studia w kraju. Zastanawiające, że komentarz był doskonały, sprawozdawca obznajomiony ze wszystkimi osobami, protokołem powitania, programem uroczystości itd. Komentarz nie dublował więc obrazu, a stanowił jego rzeczowe uzupełnienie tam tylko, gdzie istniała rzeczywista tego potrzeba. Usłyszeliśmy też przemówienia powitalne, tak że wszystko było w najlepszym porządku, audycja zaś stanowi niewątpliwie najlepszą, ze względu na rangę i operatywność, pozycję programu ubiegłego tygodnia.

Sonny boy

I już mamy lato. Słońce pali, a tu człowiek nie ma nawet parasolki... „Parasolki, parasolki..." chciałoby się zaśpiewać gdyby nie krępowała nas obecność (powyżej) kompozytora tej popularnej piosenki Piotra Hertla. Nawiasem mówiąc — autora muzyki do kilku filmów, wielu spektakli teatralnych i audycji telewizyjnych. Ale cyt... cyt... On nawet nie wie, że go fotografujemy i obgadujemy.

REKLAMA JEST...

...oczywiście dźwignią handlu, choć — w naszych warunkach — nierównie częściej zwyczajnym zawracaniem głowy. Pióra tęgiego publicysty warta byłaby historia niejednej kampanii reklamowej przerywanej najdokładniej „w pół słowa", jako że pula reklamowanego towaru wyschła znienacka i nie było już nie tylko czego reklamować, ale nawet czego sprzedawać (na przykład — kwas glutaminowy), warta jest również wdzięcznej uwagi współczesnych i potomnych reklama niejednego sklepu, w którym „wszystko dostać", choć naprawdę same w nim buble i odpadki.

Osobnym rozdziałem jest reklama telewizyjna. Oczywiście zżymalibyśmy się mocno, gdyby zaproponować nam amerykański wariant takiej reklamy, o której w ostatnim „Przeglądzie Kulturalnym" tak pisze Zygmunt Broniarek:

„Tylko ten, kto ogląda regularnie telewizję amerykańską i który wzdycha, kiedy kilkanaście razy dziennie film lub show przerywa się, by dać miejsce commercials — może ocenić cały ocean, Niagarę natrętności i — w gruncie rzeczy — brak oryginalności w amerykańskiej reklamie telewizyjnej. Reklama ta, na ogół, operuje jedną, jedyną ideą: pokazuje, jak strasznie, jak dogłębnie nieszczęśliwy jesteś przed użyciem danego produktu i jak niezwykle, rajsko szczęśliwy jesteś po jego użyciu..."

U nas — rzecz jasna — odwrotnie. Niczego się nie przerywa, niczego na siłę się telewidzom nie podtyka, ale mamy za to uroczy zwyczaj zapowiadania reklam. Najpierw długo leci winietka „tele-radio-reklamy", potem dowiadujemy się, że tylko takowa może dać pełne szczęście producentom (pro-du-cen-tom!), na koniec zaś ukazuje się jakaś, niezbyt w rezultacie przekonywująca, migawka. W rezultacie miast reklamować jakiś towar, który — powiedzmy — reklamować warto, reklamujemy samą ideę reklamy, co wydaje się być łagodnym pomieszaniem pojęć.

Oto drobny przyczynek do niewątpliwie jednej z najzabawniejszych monografii, jaka kiedyś będzie napisana: monografii dziejów reklamy w Polsce.

Jeszcze o sporcie

KOSZMAR z LIBERCA

Na telewizyjnych sprawozdawców sportowych narzekamy od lat, to jednak, co w niedzielę 28 maja wyprawiał raczej rozlewnie usposobiony facet (o nieznanym nam — ze względu na dyskrecję spikera — nazwisku) relacjonujący z Liberca przebieg eleminacji do żużlowych mistrzostw świata — przechodziło wszelkie pojęcie. A impreza, jak się wydaje, była o pewnym ciężarze gatunkowym — nie bez powodu chyba obok przedstawicieli Interwizji włączyły ją do swojego programu telewizje NRF, Holandii, Belgii i Szwecji...

O tym, a jakże, dowiedzieliśmy się od sprawozdawcy, mówił on również na temat błota, flag, orkiestr, fabryk motocykli, trocin którymi posypano tor żużlowy, deszczu, słońca, trybun, samopoczucia zawodników, szmateczek, szczoteczek i innych uroczych drobiazgów. A nawet — co mu się chwali — podawał kolejności zawodników w poszczególnych biegach, co pozwoliło jako tako orientować się w przebiegu walki.

Tak, ale zawody składały się z dwudziestu biegów, a my włączyliśmy się w połowie transmisji i niemal do końca pozostawaliśmy w błogiej nieświadomości — mają Polacy szanse na zakwalifikowanie się do II eleminacji, czy też nie mają. Nie wiedzieli tego telewidzowie, nie wiedział tego nawet sam sprawozdawca, który gdzieś po trzech kwadransach zdecydował się zasięgnąć języka w tej materii u miłego inżyniera Miduszewskiego, towarzyszącego — jak się okazało — polskiej ekipie. Inżynier, owszem, podał sumaryczne wyniki zawodników polskich, które wzbudziły w indagującym coś w rodzaju zdziwienia, po czym oddalił się ku swoim sprawom, a my nadal słyszeliśmy gawor-rzenie o błocie.

Gdy się rzecz zakończyła, sprawozdawca zafrasował się bardzo, nie wiedząc, kto w ogólnym rachunku wygrał — uratował go wszelako kolega z NRF (tak!), podsuwając kartkę z wynikami, z której zostało nam odczytane to i owo.

Na radosną, choć zarazem i wręcz obraźliwą wobec telewidzów, beztroskę sprawozdawcy można, jak się wydaje, spojrzeć pod jeszcze jednym aspektem. Otóż nie bujajmy się, że przy telewizorach w godzinach transmisji sportowych zasiadają tylko i wyłącznie znawcy sportu, czy danej dziedziny sportu — zasiadają przy nich również ludzie, którzy będą się cieszyć że „nasi wygrywają", ale którzy mają dość zielone pojęcie o regulach gry. Transmisja może być doskonałą okazją do zapoznania ich z tą czy inną dziedziną sportu, ale trzeba wówczas bodaj zwięźle powiedzieć:

— Pozwolę sobie przypomnieć państwu, że w zawodach bierze udział 16 zawodników, którzy rozgrywają między sobą 20 biegów w czteroosobowym składzie każdy, tak aby każdy zawodnik spotkał się w bezpośredniej walce z pięcioma pozostałych. Pierwsze miejsce punktuje się 3, drugie 2, trzecie 1, a czwarte 0 punktów. Po odbytych dziesięciu biegach Polacy...

I tak dalej i tak dalej. Myślicie, że usłyszeliśmy coś takiego? Skądże! Że niżej podpisany był kiedyś na zawodach żużlowych? Gdzie tam! Ja po prostu przestałem słuchać, co ględzi sprawozdawca, a zacząłem spisywać wyniki z pokazywanej nam od czasu do czasu tablicy i sam doszedłem systemu, jakim rozgrywane są eleminacje.

Czy wobec tego nie można wynaleźć telewizji niemej?!

T. P.

„PROFESOR GROCK ODCHODZI"

Pijanowski atakował. Pański się wykręcał. Powód? Telewizja nabyła sporo filmów za granicą. Są to filmy pokazywane z tekstem czytanym przez lektora, filmy w kinach nie wyświetlane, a więc nie poddawane ocenie komisji działającej, jak się zdaje przy CWF, a złożonej m.in. z przedstawicieli Ministerstwa Oświaty. Komisja ta, jak wiadomo, wyznacza granicę wieku widzów kinowych dla określonego filmu. Oczywiście, i tu zdarzają się nieścisłości, np. „Słomiany wdowiec" w Warszawie dozwolony był dla młodzieży od lat 16, a w Łodzi od lat 18.

To w kinach. Ale co ma robić telewizja? Jakie kryteria zastosować przy ograniczeniu wieku widowni? Sprawa jest niebagatelna. Pański odpowiedział, iż zamierzają powołać własną komisję. Wydaje się to niezbędne.

W ubiegły czwartek z okazji święta dziecka program telewizji był dość infantylny. Na zakończenie przygotowano film pod tytułem „Prof. Grock odchodzi". Tym, co go nie widzieli pragniemy powiedzieć, iż treścią filmu są kłopoty zawodowe i osobiste starego angielskiego profesora łaciny i greki. Osobiste — to młoda żona, która zdradza go z przystojnym nauczycielem fizyki. Podwójna tragedia człowieka jest głównym wątkiem filmu, przy czym o „pewnych rzeczach" mówi się bez obsłonek. Profesor oświadcza młodemu fizykowi, iż od dawna wie o romansie swej żony, ale rozumie, że on, stary fajtłapa, nie może dać tej kobiecie, pięknie zbudowanej i młodej, tego co jej daje fizyk. I tak dalej. Pointą naszego felietonu niech będzie zapowiedź spikera Warszawy, który uśmiechnięty promiennie, zaprosił do telewizorów młodzież.

Źródło nieporozumienia tkwiło prawdopodobnie w tym, że kiedyś na naszych ekranach wyświetlano film pod podobnym tytułem, tyle, że dotyczył on słynnego klowna angielskiego i był zresztą obrzydliwą autoreklamą Grocka-klowna. Tamten film opowiadał o dzieciach. A ten raczej nie...

Wydaje się, że nie tylko ocena filmów powinna podpadać pod zakres działania komisji. Chyba również audycje publicystyczne przeznaczone dla dorosłych, mówiące o problemach rozwodów, alimentów, świadomego macierzyństwa, dalej dyskusje z cyklu „Wszyscy jesteśmy sędziami", sprawozdania z sądów itp. Telewizja ze względu na swą atrakcyjność stanowi jednocześnie pewne niebezpieczeństwo dla kształtujących się młodych charakterów. Dzieci pod nieobecność rodziców lubią w TV oglądać wszystko. A przecież nie wszystko w młodym wieku do oglądania się nadaje. Dlatego też trzeba pomyśleć o wprowadzeniu plansz z napisem audycja dozwolona od lat 16, 18... Nie zapominając oczywiście o dobrym zwyczaju umieszczania takich audycji w programie wieczornym.

x

PROGRAM na najbliższe dni

8. VI. CZWARTEK

17.55 Program dnia (L).
18.00 Program dokumentalny pt. „Pięć tonów hejnału". Kraków p-Katowice.
18.30 „Mój koń" — film cykliczny dla młodzieży (W).
19.00 „Jak spędzić wakacje" — Młodzieżowy program publicystyczny (W).
19.30 Dziennik Telewizyjny (W).
20.00 „Nie tylko dla pań" — magazyn (W).
20.30 Program publicystyczny (L).
20.45 Teatr „Kobra" — „Skarb Pirata" (W).
21.40 Ostatnie wiadomości (W).

9. VI. PIĄTEK

17.25 Program dnia (L).
17.30 Sprawozdanie z półfinałów Mistrzostw Europy w boksie. Transmisja z Belgradu (K).
19.00 Wszystkie Dni Tygodnia (L).
19.30 Dziennik Telewizyjny (W).
20.00 „Nowości poetyckie" — Estrada Poetycka (W).
20.30 Film fabularny produkcji włoskiej pt. „Ciao ciao bambino" dozwolony od lat 16 (L).
22.15 Sprawozdanie z półfinałów Mistrzostw Europy w boksie. Transmisja z Belgradu (K).
23.00 Melodia na dobranoc.

10. VI. SOBOTA

15.10 Program dnia (L).
15.15 W programie dla dzieci i młodzieży transmisja z teatru „Klasycznego" w Warszawie „Złotę ręce" (W).
17.00 Sprawozdanie sportowe (W).
19.10 „Paragraf i fajka" (W).
19.30 Dziennik Telewizyjny (W).
20.00 „Pegaz" — magazyn kulturalny (W).
20.35 Rozmowa o programie (L).
21.00 Sprawozdanie z finałów Mistrzostw Europy w boksie. Transmisja z Belgradu (K).
23.30 Melodia na dobranoc.

11. VI. NIEDZIELA

9.55 Otwarcie XXX Międzynarodowych Targów Poznańskich. Transmisja z Poznania.
11.00 Przerwa.
13.10 Kronika Filmowa Ziemi Łódzkiej (L).
13.30 Koncert Chóru Męskiego i Chłopięcego przy Państwowej Filharmonii w Poznaniu pod dyrekcją Stefana Stuligrosza (P).
14.10 Film z serii Disneyland (W).
15.00 Niedzielna Biesiada (L ogólnop.).
16.00 Teatrzyk „Violinek" (W).
16.45 Program literacki (W).
17.30 Sprawozdanie sportowe (K).
19.45 Dziennik Telewizyjny (W).
20.30 Film produkcji angielskiej z serii „Czterej sprawiedliwi" (W).
21.00 „Serenada" — program muzyczny z Galerii Dreździeńskiej. Transmisji z Drezna p. Berlin (K).
22.30 Wiadomości sportowe (W).

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O zaopatrzeniu w związku z nadchodzącym sezonem letnim powiedzieli nam:

Pani Leokadia Dobrodziej — kierowniczka sklepu z artykułami odzieżowymi, Piotrkowska 9.

W tej chwili mamy całą masę kompletów plażowych i to na każdy wiek począwszy od lat trzech aż do osiemnastu, z lnu, płócienka, kretonu, bawełny. Posiadamy również sporo letnich sukienek najrozmaitszych fasonów i kolorów. Można powiedzieć, że jesteśmy przygotowani lepiej niż w zeszłym roku. Odczuwamy jedynie brak płaszczyków popelinowych w żywszych kolorach.

Pani Stanisława Lipińska — ekspedientka sklepu perfumeryjno - kosmetycznego, Piotrkowska 52.

Do nadchodzącego lata jesteśmy dobrze przygotowani. Na zaopatrzenie nie możemy narzekać. Wszelkiego rodzaju olejki i kremy do opalania czekają już na klientów. Dla mężczyzn polecamy świetne kremy do golenia i po goleniu. Dla tych, co nie używają kremów, mamy też doskonałe mydełka. Odczuwamy natomiast brak lakieru usztywniającego do włosów marki „Lechia". Panie bardzo się o niego dopominają.

Pani Władysława Radek — kierowniczka sklepu z obuwiem „Gallux", Piotrkowska 89.

Można śmiało powiedzieć, że jesteśmy doskonale zaopatrzeni. Dla pań oferujemy przeróżne „gdynki", „baleriny", „czółenka", „kaczuczki" oraz wszelkie obuwie zarówno odkryte, jak i z całą piętą. Krajowe i importowane. Jeżeli chodzi o męskie obuwie to posiadamy asortyment równie rozległy. Daje się odczuć natomiast brak sandałów i wiatrówek. Obiecano nam jednak, że już za kilka dni nadejdzie transport tego poszukiwanego artykułu i to we wszystkich rozmiarach.

Rozmawiał **ŁUW**

informacje zaczepki

⊙ Niedawno jedno z paryskich wydawnictw zwróciło się do łódzkiego pisarza Zbigniewa Nienackiego o prawo tłumaczenia na francuski jego najnowszej powieści „Worek Judaszów", która ukazać się ma niebawem nakładem „Czytelnika". ⊙ Jan Paweł Gawlik tak napisał w ostatnim „Życiu Literackim": „Pstrąg zaprezentował przede wszystkim regresję smaku, bez którego każdy zespół musi zejść na bezdroża" — niestety opinię tę trudno sprawdzić, bowiem „Pstrąg" znów nie ma własnej sali. ⊙ W Pabianicach otwarto wystawę prasy regionalnej z lat 1863-1961. ⊙ Wśród 18 łódzkich działaczy kulturalnych odznaczonych Złotą Odznaką Honorową TPP-R, znalazło się 6 dziennikarzy. ⊙ Młody grafik Kazimierz Mozolewski zdobył się z okazji Dni Oświaty na niebywały dowcip — opublikował mianowicie w „Expressie" rysunek z podpisem: „Chcę jakąś książkę do śmiechu" — „Służę tomikami młodych poetów"; gratulujemy szampańskiego humoru i inwencji. ⊙ Nie wiemy już śmiać się czy płakać gdy mowa o budowie w Łodzi galerii sztuki — sądzimy jednak, że organizowane ad hoc wystawy malarskie w bibliotekach, kawiarniach, klubach, świadczą aż nazbyt wymownie o potrzebie solidnej sali wystawowej. ⊙ Jak się dowiadujemy jeden z łódzkich zakładów pracy zgłosił tzw. stypendium fundowane w wysokości... 100 zł miesięcznie; chętnych na tę zawrotną sumę o dziwo nie znaleziono. ⊙ Już drugą kawiarnię młodzieżową typu „Staromiejska" otwarto w Łodzi — tym razem mieści się ona w podziemiach pałacyku, a więc pod bokiem władz ZMS naszego miasta. ⊙ Po przereklamowanej Ymie Sumac spotkała łodzian nowa gromko okrzyczana atrakcja — paryska rewia na lodzie; ci, którzy mieli okazję rzecz oglądać nie wyrażają ponoć chęci obejrzenia „Paris sur glace" ponownie. ⊙ Wyścig Pokoju się skończył, łodzianie nie mogą jednak zapomnieć uroczego tytułu „Ucieczka pięciu muszkieterów" — w ten bowiem sposób jedna z gazet poinformowała czytelników o ucieczce pięciu kolarzy; do dziś snują się po mieście facęci z obłędem w oczach pragnący zgłębić skąd w wyścigu wzięli się muszkieterowie i to akurat pięciu.

WIL.

O TYM NIE WIECIE

CZEGO NIE WOLNO POKAZYWAĆ NA EKRANIE?

W Hiszpanii: kobiety w dwunogawkowych kąpielówkach i łóżek małżeńskich postawionych obok siebie;

w Szwecji: scen morderstw i samobójstw;

we Francji: zbrodniarzy, którzy są chytrzejsi od policji;

we Włoszech: scen atakujących kościół i religię;

w Holandii: scen przejmujących grozą;

w Japonii: operacji chirurgicznych;

w Egipcie: tańca brzucha;

w Patagonii: cenzura niczego nie zabrania, gdyż jej w tym kraju nie znają. Za to we wszystkich kinach są oddzielnie wznaczone miejsca dla mężczyzn i dla kobiet: mężczyźni siedzą po prawej stronie, a kobiety po lewej.

CO POWIEDZIELI:

HELMUT KAUTNER, reżyser niemiecki: Nie ma bardziej nieszczęśliwego człowieka nad aktora filmowego, któremu uda się mimo wszystkich starań zachować swoje incognito.

VITTORIO DE SICA: Życie jest bardzo skomplikowane. Wystarczy mruknąć w odpowiednim urzędzie jedno słowo, a już człowiek jest żonaty. Wystarczy także wymamrotać jedno słowo w czasie snu, a już jest rozwiedziony.

(t. — j. b.)

Nasz projekt

W ZWIĄZKU Z OCIEPLENIEM

Rys. M. Mann

BA gatelki

DNI POWSZEDNIE I ŚWIĘTA

Znowu muszę, Panie Redaktorze, zwracać się do Pana w formie listu otwartego. Tym razem chodzi jednak o problem nabrzmiały i wymagający rychłego albo bardzo ostrożnego zajęcia się nim. Idzie mianowicie, jak to już w tytule wyłuszczyłem, o dni powszednie i święta.

Czy Pan pamięta, Redaktorze, jak to się pięknie zaczęło? Właśnie według przysłowia „miłe złego początki". Jednym z pierwszych świąt wprowadzonych w okresie ostatniego szesnastolecia było Święto Matki. Cośmy zrobili? Przyklasnęliśmy. Więcej — przyzwyczailiśmy się do niego i kupujemy kwiaty. Ale zaraz potem, jak zresztą można się było tego spodziewać, wprowadzono Dzień Dziecka. Potem już po kolei Dzień Kolejarza, Energetyka, Nauczyciela, Studenta, Dzień Wojska, Święto Lotnictwa, Święto Kobiet, Dni Oświaty, Książki i Prasy. Nie będą Pana Redaktora męczył wyliczaniem. Pozwolę sobie tylko skromnie zauważyć, że stosunek dni zupełnie powszednich, do dni z jakichś okazji świątecznych wyrazi się wkrótce w stosunku 1 : 1. Ja nawet nie protestuję, Panie Redaktorze. Chodzi mi tylko o pewną społeczną niesprawiedliwość. O to na przykład, że nie ma ani święta mężczyzn, ani święta ojców, choć ci niezmordowanie walczą o oficjalne mianowanie ich dniem święta 40 męczenników. Buntuję się, Panie Redaktorze, na myśl, że nie ma dnia Ginekologa, Cukiernika, Aptekarza, Introligatora, Kołodzieja, Święta Siostry Rodzonej i Brata Stryjecznego. Dlaczego nie ma Panie Redaktorze? Nie będę walczył na razie o Święto Pszczelarza czy Dzień Dalekich Krewnych. Chcę tylko abyśmy spokojnie i rozsądnie zastanowili się jakie święta można jeszcze wprowadzić jeśli naprawdę nic się nie da znieść. Z nadzieją, że nie zostawi mnie Pan sam na sam z tym palącym zagadnieniem pozostaję, Panie Redaktorze, w głębokiej rozterce.

MAW

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka matematyczna. Posłuchajcie: spotkano człowieka pasącego po jednej stronie drogi owce. Kiedy go zapytano, ile liczy jego stado, odpowiedział: jeśli jedna owca przejdzie z tej strony drogi na drugą, do tamtego pasterza, będziemy obaj mieli po równo. Jeśli natomiast przejdzie z jego stada do mnie, to będę miał trzy razy więcej niż on. Tyle opowiastka. Trzeba teraz obliczyć ile jeden i drugi pasterz miał owiec. Rozwiązanie wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać w terminie tygodniowym. Wśród czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązanie rozlosowane będą nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NR 19

Krzywousty miał pięciu synów. Dwu królów o imieniu Kazimierz rządziło w Polsce. Łódź otrzymała prawo miejskie w XV wieku. Wojna z Zakonem rozpoczęta w 1454 r. trwała trzynaście lat. Nagrodę otrzymał p. Feliks Fedzin, Łódź, ul. Skalna 28.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NR 20

J. Jlf i E. Pietrow — Dwanaście krzeseł. John Reed — Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem. Antoni Czechow — Trzy siostry. Ksawery Pruszyński — Trzynaście opowieści. Nagrodę otrzymał p. Ryszard Maj, Łódź, Obrońców Stalingradu 150 m. 2.

NASZA KRZYŻÓWKA

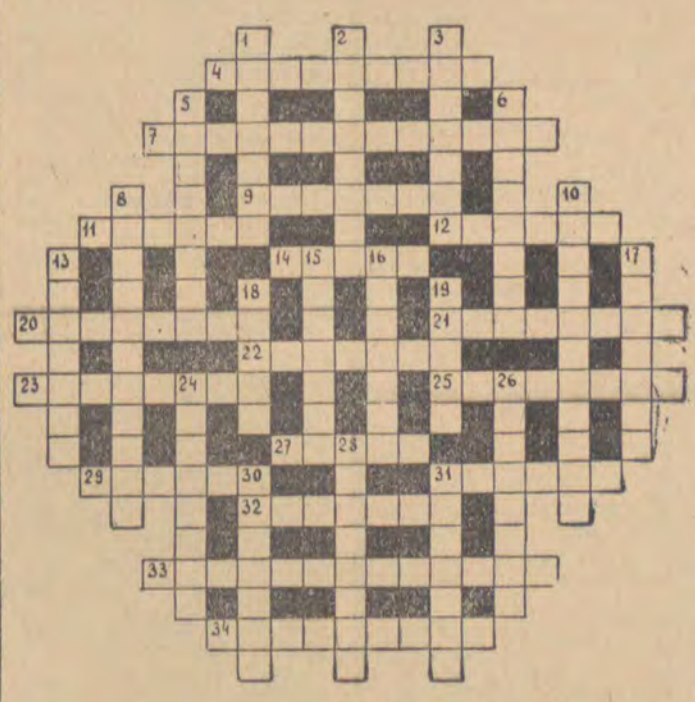

Znaczenie wyrazów:

POZIOMO — 4) Ogół stosunków produkcyjnych odpowiadających danemu stopniowi rozwoju sił wytwórczych społeczeństwa, 7) Zjawisko wytwarzania owoców bez nasion; owoce pozbawione nasion spotyka się np. u niektórych gatunków jabłek, gron itp. 9) Rzeka w północnych Włoszech, która w starożytności tworzyła granicę między Italią i Galią Cisalpińską, 11) Płot, 12) Dowód, załącznik, 14) Mebel, 20) Zboże, 21) Koszenie trawy, 22) Cyklon zwrotnikowy, 23) Błazeństwo, śmieszna zarozumiałość, 25) Pingwin, 27) Rezerwa, 29) Posiłek, jedzenie 31) Pseudonim Henryka Sienkiewicza, 32) Prezenty, 33) Nazwa niektórych wielkich okrętów, 34) Forma tektoniczna pofałdowanych warstw skalnych, mająca w środku warstwy najstarsze, a po bokach najmłodsze.

PIONOWO — 1) Osoba, która zdaje egzamin przy jakiejś szkole nie ucząc się w niej, 2) Małżonka, 3) Gliniany instrument muzyczny, 5) Granit skandynawski; w Polsce występuje często wśród głazów narzutowych, 6) Sukmana krakowska suto wyszywana, 8) Przyrząd do mierzenia natężenia pola magnetycznego, 10) Wszechświat, 13) Bielizna, 15) Dom wiejski wraz z całym otoczeniem na podwórzu, 16) Ozdoba okna, 17) Sztuczne zęby, 18) Przeziębienie, 19) Człowiek, 14) Zespół przyborów stanowiących wyposażenie jakiegoś urządzenia, instalacji technicznej itp., 26) Podskórny, domięśniowy lub dożylny, 28) Doświadczenie; czynność zawodowa lekarza lub prawnika, 30) Góry we Włoszech, 31) Materiał opatrunkowy.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 14.

POZIOMO — kontusz, notes, febra, czekolada, ambaras, Sorbona, tara, Toronto, ospa, Arnold, matura, działon, ocet, balista, Bucefał, kontrabas, Dania, obłok, kasztan.

PIONOWO — Polka, operator, trop, starosta, praca, schab, farba, marynarka, nasturcja, mosiądz, taranty, szatynka, Kolumbia, serso, baran, brąz, łosoś.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Kamila Orłowska**, Łódź, ul. Rudzka 7 m. 9

2. **Adam Galer**, Kraków, ul. Westerplatte 1.

RODOWÓD KRYTYKA

RYSZARD DOROSA

Kto z twórczością skończy marnie, tego krytyka przygarnie,

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łodzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244 79 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17 ◇ Zam. 1634 VI L-12

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED • WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE COPYRIGHT BY ODGŁOSY

Ot, plenerek! Fot. JAN KOPEC

WPŁYWY Z MANDATÓW

Chodzi o mandaty karne aplikowane przez funkcjonariuszy MO kierowcom i przechodniom za wykroczenia w ruchu kołowym i pieszym. W roku 1959 suma wpływów z tego tytułu wyniosła w Łodzi zł 664.902, a w roku 1960 636.319 zł. Wnosząc z tego, że łodzianie niezbyt pilnie stosują się do nauk chodzenia po ulicy udzielanych ostatnio, nie należy spodziewać się zmniejszenia wpływów mandatowych w roku bieżącym. Ha cóż, ha trudno. Wolą współobywatele narażać się na wypadki, niechaj z góry opłacają miejsca w szpitalach. Trzeba bowiem wiedzieć, że wbrew istniejącej famie, jakoby milicjanci mieli od mandatów jakowąś premię — pieniądze z nich idą w całości, co do grania, do skarbu państwa. A ten, jak wiadomo, łoży m. in. i na złamane kości i na wstrząśnięte mózgi.

POCIĄG WIDMO

Trzej kolejarze: J. Zaradkiewicz, L. Matuszewski i J. Jędrzejczak postanowili urządzić sobie nocną wycieczkę parowozem. „Próba szybkości" się nie udała, ponieważ mknący parowóz wyskoczył z szyn i zarył się głęboko w torfowisko. Działo się to na bocznicy kolejowej na Chojnach.

Włos się jeży, gdy pomyśleć, co by się mogło stać, gdyby trójce zwolenników kawalerskiej jazdy udało się wytoczyć lokomotywę na główny tor. Brr!

PŁYWACY

Niedawno na Politechnice Łódzkiej zbudowano dla studentów nowy basen pływacki. Na uroczystości otwarcia pływalni przedstawiciel Polskiego Związku Pływackiego tak zakończył swoje krótkie przemówienie: „Każdy student dobrym pływakiem".

Działacz był bardzo zdziwiony, kiedy hasło to przyjęto gromkim śmiechem i burzliwymi oklaskami.

GDZIĘ SĄ LODÓWKI?

Podaż lodówek jest od dłuższego czasu odwrotnie proporcjonalna do popytu na nie. W drugim kwartale br., nasze 700-tysięczne miasto otrzymało aż... 40 lodówek produkcji krajowej. Co się działo w ubiegłym tygodniu przy tej okazji w sklepie sprzedającym ten — kto by pomyślał w r. 1961 — atrakcyjny artykuł — lepiej nie mówić. W tej sytuacji szczególnego smaku nabiera ogłoszenie zamieszczone w jednej z gazet o 30 lodówkach, które swoim graczom obiecuje w czerwcu „Kukułeczka". Tym, co wymarzyli sobie lodówkę, nie pozostaje nic innego jak zamienić uciułany grosz na kupony łódzkiej gry liczbowej. A swoją drogą ciekawe, jak nasz ptaszek wykukał sobie taką zawrotną podaż?

ECCE KIEROWNIK!

Gdyby urządzić w Piotrkowie konkurs na najlepszą kawiarnię, niewątpliwie pierwsze miejsce zajęłaby kawiarnia „Ormianin". Czysto w niej, przyjemnie, obsługa miła, grzeczna jak rzadko. Do tańca przygrywa dobry zespół muzyczny.

Piotrkowianie twierdzą, że tajemnica tkwi właśnie w rzeczonym zespole muzycznym. Mianowicie gra w nim pan Lech Kociniak... kierownik miejscowego Wydziału Kultury.

TYLKO DLA ESPERANTYSTÓW

Łódzki Klub Międzynarodowej Książki i Prasy nie od dziś cieszy się zasłużoną renomą. Ostatnio w tym „azylu poliglotów" czyli w kawiarni klubu wydzielono specjalny stolik, przy którym można rozmawiać w języku esperanto. Gratulujemy pomysłu.

OFIARA MOTORYZACJI

Obywatel Jerzy P. z powiatu kutnowskiego kupił w łódzkim „Motozbycie" samochód marki „Mikrus". Pojechał nim do domu, podróż jednak obfitowała w przeróżne przygody, samochód bowiem w rękach nie doświadczonego kierowcy wykazywał mnóstwo defektów. Ob. P. po gehennie podróży tak się zniechęcił do zakupionego pojazdu, że na drugi dzień chciał go zwrócić „Motozbytowi", oczywiście „odbierając" wpłacone pieniądze. „Motozbyt" nie przystał na taką transakcję, oferując zbadanie pojazdu ewentualne doprowadzenie go do stanu używalności. Takie postawienie sprawy nie odpowiadało z kolei obywatelowi P., który z rozpaczą w sercu powrócił do domu. Myśl o zepsutym „Mikrusie" doprowadziła go do ostrego rozstroju nerwowego. Obecnie przebywa na leczeniu w szpitalu psychiatrycznym.

DEMENTIA WARTBURGICA

Jest sezon i niejedna osoba myśli już o urlopie. Co jednak ma robić osoba, która „wypłakała" u władz przydział na rok bieżący pięknego „Wartburga", termin odbioru samochodu już dawno minął, a „Motozbyt" nie kwapi się z wywiązaniem ze swych zobowiązań?

Rozwiązania są różne:

a) pilnowanie nadejścia samochodów i kolejności wydawania bezpośrednio w „Motozbycie" (są to tzw. osoby „praworządne"),

b) pilnowanie nadejścia „Wartburgów" na stacji („gorliwi"),

c) penetrowanie linii kolejowych np. od Krotoszyna do Łodzi („cwaniacy"),

d) dzwonienie do „Motoimportu", Ministerstwa Handlu Wewnętrznego, a nawet do... Eisenach („ważniacy").

P. S. Jak nam ostatnio doniesiono rekord pobiła tu grupa zawiedzionych klientów łódzkiego „Motozbytu". Wynajęli oni podobno pokój na V piętrze bloku przy ulicy Wojska Polskiego (vis a vis magazynu „Motozbytu") i mając jak na dłoni stojące na placu pojazdy pełnią codzienne dyżury, pilnując nadejścia „Wartburgów". Mamy obecnie kłopot: do jakiej „grupy zaliczyć te osoby?...

CZYNY

W swoim czasie w czynie społecznym posadzono drzewa przy nowym odcinku ulicy Północnej. Posadzono również drzewa przy ul. Sterlinga. Niedługo drzewa te zostaną usunięte. Bowiem jak wynika z planów urbanistycznych ulica Sterlinga ma być poszerzona, a Północną pobiegnie linia tramwajowa.

Proponujemy wspomniane drzewa usuwać również w czynie społecznym.

WYZNANIOWA WIEŻA BABEL

Łódź, jak się okazuje, jest religijną wieżą Babel. Na terenie miasta istnieje 13 różnych wyznań. Oto one: Kościół Rzymsko-Katolicki, Kościół Ewangelicko-Augsburski, Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, Kościół Polsko-Katolicki, Kościół Metodystyczny, Unia Zborów Adwentystów Dnia Siódmego, Polski Kościół Chrześcijan Babtystów, Świecki Misyjny Ruch „Epifania", Kongregacja Wyznania Mojżeszowego, Zrzeszenie Wolnych badaczy Pisma Świętego, Kościół Starokatolicki Mariawitów, Kościół Zjednoczony Ewangeliczny Chrześcijan Dnia Siódmego, Jednota Braci Polskich (arianie).

KIEDY NAJWIĘCEJ GAZU?

Mowa o gazie paliwowym, a nie tym powszechnie stosowanym — alkoholowym. O ile najwyższe zużycie tego ostatniego przypada na sezon zimowy, a zwłaszcza na grudzień, o tyle tego pierwszego wprost przeciwnie. Jest to i oczywiste i zrozumiałe. Pewnym zaskoczeniem być może informacja, że najwięcej benzyny idzie nie w miesiącach letnich, lecz w październiku. Wynika to z danych CPN za rok 1960, która szczyt zbytu w Łodzi osiągnęła w październiku (1.918 ton). Niż zanotowano w grudniu — (1.215 ton).

PYTANIA

Miejski Ośrodek Informacji jest instytucją ze wszystkich stron opisaną. Nic dziwnego, skoro jedynymi jego stałymi interesantami są dziennikarze (zwłaszcza jeden, z „Expressu"). Nam pozostaje tylko stwierdzić, że MOI niezależnie od opisania jest instytucją wielce szanowaną. Świadczy o tym skala pytań zadawanych MOI głównie przez telefon.

Pytania są czasem dziwne i naiwne, ale zawsze serio i nigdy złośliwe. Gros pytających stanowią przyjezdni, indagujący o adresy instytucji, położenie ulic, numery telefonów. Łodzianie pytają o zguby, adresy punktów usługowych, repertuar kin i teatrów, obecnie — ponieważ sezon — o szkoły. Do stałych należą pytania krzyżówkowe i o znaczenie wyrazów obcych. Rzadziej trafiają się pytania o pogodę za granicą w związku z wyjazdem. Pytanie z ubiegłego tygodnia, na które sympatyczna pani z MOI nie potrafiła dać odpowiedzi: „Jaką toaletę będzie miała pani Kennedy w Wiedniu?

CZUWAJ!

Dowiadujemy się, że jeśli chodzi o rozwój harcerstwa najgorzej przedstawia się sytuacja tam, gdzie powinna wyglądać najlepiej: w Warszawie i Łodzi. Młodzieży mnóstwo, harcerzy mało.

W naszym mieście uczy się 98 tysięcy dzieci i młodzieży w wieku harcerskim, należy zaś do ZHP:

zuchów	2.490
harcerzy	7.751
drużynowych i przybocznych	720
opiekunów	194
instruktorów w Komendach Hufców i Komendzie Chorągwi	110

Razem więc — 11.265 ludzi, co stanowi zaledwie 11,5 proc. młodzieży szkolnej w ZHP. Dlaczego tak mało?

Po pierwsze: nie ma tzw. kadry, brak drużynowych, opiekunów także brak. *Po drugie:* nadal obserwujemy pewną pustkę progr mową w pracy ZHP i nienadążanie za modą. Harcerze nie zawsze chcą paradować w krótkich spodniach, dziewczęta w szarych, nieefektownych mundurkach z wypchanymi kieszeniami. *Po trzecie:* w Łodzi zaledwie 40 nauczycieli pracuje w ZHP, a przecież szkoła stanowi główną bazę dla ZHP. Spośród opiekunów wyznaczonych przez Rady Pedagogiczne równa setka nie zabrała się do pracy. No więc czuwaj panie kierowniku i panie dyrektorze szkoły nad rozwojem ZHP, któż ma na ten rozwój wpływać. Straż Pożarna?

WĘDROWNY NIEBIESKI PTAK

Tadeusz L. ma na swoim koncie znaczną ilość włamań i kradzieży. Zalicza się także do tzw. hien cmentarnych. Teren jego rozległej przestępczej działalności obejmował m. in. Sanok, Dębno, Złotoryję, Warszawę. Ostatnio Tadeuszowi L. bez stałego miejsca zamieszkania powinęła się noga na nieforunnej kradzieży sklepowej w „mieście tysiąca kominów". Za swoje czyny odpowie przed sądem powiatowym dla m. Łodzi.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. W. Kuźnowicz